

JACQUELYN  
MITCHARD

*Prezent  
na  
święta*

Z angielskiego przełożyła  
*Zdzisława Lewikowa*



  
Świat Książki

*Jednej i drugiej Karen,  
a także Jill, która książkę tę przeczytała  
dla przyjemności*

## Podziękowania

Serdeczne dzięki składam moim ukochanym, nielicznym i dziwnym kuzynom - Mitchardom za dni i noce w Tuscany; stały się one inspiracją do powstania tej książki. Dziękuję też moim najbliższym, którzy przeżyli tę śnieżną, przerażającą noc spędzoną na placu „Wielkich Wykopów”, gdzie się to wszystko zaczęło. I jak zawsze dotąd - i tak już pozostanie w przyszłości - twierdzę, że do niczego bym nie doszła bez Jane, Patti, Marjorie i Cathy, które są moimi muzami, natchnieniem mego pisarstwa.

Całymi tygodniami męczył się, nie mogąc sobie przypomnieć, czy zbliża się czternasta, czy też piętnasta rocznica ich ślubu. Wiedział, że pożałuje własnej głupoty i niepotrzebnego roztrząsania. Mógłby lepiej wykorzystać ten czas: spędzić więcej chwil z dziewczynkami, wziąć tydzień urlopu, uczynić sobie jakieś wielkie postanowienie i wykonać gesty potwierdzające serdeczną więź z małżonką.

Może refleksja jest spóźniona, ale przecież wiemy, że czternasta rocznica to coś zwykłego, rutynowego. Jeśli sobie wyobrazimy, że się wspinamy po szczeblach drabiny prowadzącej ku złotemu zachodowi słońca, to czternasta rocznica nie usta-

wia nas nawet pośrodku tej drabiny. Trudno też uważać ją za coś świeżego czy nowego.

Czternastą rocznicę można przyrównać do czterdziestych drugich urodzin, niewymagających szczególnego uczczenia. Ale wystarczy dodać rok, a będzie to data ważna, stanowiąca niemal kamień milowy. Bo przeżycie z kimś półtorej dekady we względnym spokoju już się liczy. Oczywiście, w tym czasie bywały okresy zachwycające, lecz zdarzały się i dni jałowego otepienia, gdy oczy piekły z niewyspania. Tak było zaraz po przyjściu na świat dziewczynek, a także wtedy, gdy nieuchronna i okrutna śmierć zabrała mu matkę. Straszny również wydawał się ów długi i stresujący tydzień, kiedy po pobraniu wycinka tkanki z piersi Laury czekali na wyniki. Albo gdy Annie zapadła na zapalenie opon mózgowych. W ciągu dziesięciu dni jej choroby nie mogli spokojnie dokończyć żadnego posiłku, spożywanego razem czy osobno...

Przeżycie piętnastu lat nadało szczególny status

ich małżeństwu; tylko niewielu ich przyjaciół mogłoby się pochwalić takim pełnym treści związkim. Okrągłe piętnaście lat małżeństwa wymaga hucznych obchodów. Powinny być tak uroczyste jak spotkanie po latach kolegów z gimnazjum albo odnowienie przysięgi ślubnej, jaką złożyli kiedyś sobie z Laurą w kaplicy *Wee Kirk o'the Heather* w Las Vegas. Taka rocznica byłaby czymś równie cennym jak buty kupione u Prady, które kosztują tyle, ile wynosi połowa tygodniowej pensji, lub jak krótki rejs na Karaiby.

Elliott rozważał, czy używając podstępu, nie mógłby się dowiedzieć daty ślubu od swojej teściowej, Mirandy. Wystarczyłoby wymyślić jakiś pretekst, historyjkę, że na przykład chce sprawdzić, jakie rozmiary ubrań nosi Laura... Mężczyznom na ogół się przebacza ignorancję w tych sprawach, a nawet psuje się ich zbytnim pobłażaniem. Nie potrafił jednak sformułować pytania, które by mu pozwoliło wyciągnąć tę informację od matki Lau-

ry. Miranda - kobieta zimna, o ostrym spojrzeniu — zajmowała się pośrednictwem mieszkaniowym i była wiecznie zapracowana. Choć z natury małomówna, stawała się złotousta, gdy rozmowa dotyczyła elementów konstrukcji budynku, jakichś słupów czy belek, albo kararyjskiego marmuru, jakim miała być wyłożona łazienka przyszłych właścicieli. Nie mówiła gołosłownie, na przykład: „I to był ostatni raz, kiedy Helen i David udali się do-  
kądkolwiek razem jako mąż i żona...”, albo „Właśnie kupiłam to srebrne volvo...”, lub „Czy przypominasz sobie, jak cudownie wyglądała siostra Laury, Angela, a była wtedy zaledwie w trzeciej klasie gimnazjum...”, o rzeczach, które można było w stosownej chwili sprawdzić u rodziny.

Album ze zdjęciami rodzinnymi też Elliottowi nie pomógł. Bo chociaż pod każdą fotografią notowali imiona widniejących na niej osób, a także miesiąc i dzień, kiedy została zrobiona, ale na wyrażne życzenie Laury pomijali rok. Trzymali w al-

bumie wyłącznie zdjęcia czarno-białe i to także było zgodne z życzeniem Laury. „Kolorowe fotografie się starzeją — mawiała — a ja chcę, by były zawsze jak nowe”.

Pobrali się dwudziestego trzeciego grudnia. Na tę uroczystość wszystkie panie, łącznie z Laurą, włożyły suknie z czerwonego aksamitu, mężczyźni zaś wystąpili w szarych frakach, spodniach w prążki i cylindrach. Nawet bez kolorowego filmu Elliott zapamiętał wrażenie, jakie zrobili: na tle białego śniegu wyglądali jak czerwone kardynały i szare wróble. Do zdjęć na dworze fotograf rozłożył ogromną płachtę przezroczystej plastikowej folii. Laura zerkała spod kaptura peleryny z merynowskiej wełny, obszytej króliczym futerkiem. Wyglądała jak postać z *Małych kobietek*\*.

Albumowe zdjęcia nie pozwalały na ustalenie

\* *Little Women* - słynna powieść dla dziewczynek pióra dziewiętnastowiecznej amerykańskiej autorki Luizy M. Allcot (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

czasu ich powstania; nie widać było ani jednego samochodu z możliwą do zidentyfikowania osłoną chłodnicy czy budową karoserii.

Elliott mógłby zapytać o datę swego ślubu własną matkę, która na pewno nie ofuknęłaby go za to, przeciwnie — byłaby wzruszona dbałością syna o szczegóły.

Ale matka nie żyła. Od dwóch lat Elliottowi bardziej lub mniej doskwierał jej brak. To uczucie nigdy go nie opuszczało. Towarzyszyło mu jak stany podgorączkowe, wzmagające się na wiosnę albo w momentach, gdy paląca stawała się potrzeba czułości. Laura w ogóle nie była podobna do jego matki. Miała zupełnie inny styl bycia, różne upodobania i zdolności. Mimo to wciąż mu ją przypominała, głównie ze względu na swój zdrowy rozsądek i szczere serce. Żona nieraz się z niego nabijała, wytykając mu, że na pierwszej randce wyznał jej, iż pewnie nigdy się nie ożeni, bo nie znajdzie kobiety, która by dorównywała jego mat-



ce. Amy zmarła na raka jajników. Nie dożyła chwili, w której mogłaby usłyszeć, jak wnuczka, nazwana po niej Amelią, wymawia imię babci.

Jak na ironię, w ciągu dwóch lat mała Amelia stała się paplą, której usta się nie zamykały; jeśli nie mówiła, to znaczyło, że śpi. Dla uczczenia pamięci matki Elliott czasem nazywał córeczkę „Amy”, zwykle wtedy, kiedy układał małą do snu.

O tym, że o rocznicy ślubu powinni pamiętać mężowie, a nie żony, powiedziała Elliottowi, nie owijając w bawełnę, jego matka. To było zgodne z tradycją i jego zdaniem nawet sprawiedliwe.

Wiedział, że Laura i tak wzięła na siebie ogromny obowiązek urządzania wszystkich innych świąt. Przed Bożym Narodzeniem wstawiała o czwartej nad ranem, aby przygotować indyki. Pewnego roku namówiła swego brata, Stephena, by późnym wieczorem, kiedy jej córeczki były już bardzo śpiące, zjawił się w drzwiach ich pokoju w płaszczu z czerwonego pluszu, podbitym białym króliczym

futerkiem. Nawet najstarsza dziewczynka, Annie, mająca wtedy trzynaście lat, przez długi czas była przekonana, że zobaczyła prawdziwego świętego Mikołaja.

Dość często im się zdarzało przesuwając uroczystość rocznicy ślubu aż na sylwestra, bo wcześniej sporo było zwracania głowy z koncertami szkolnymi, zakupami i gośćmi. Przeważnie już na tydzień przed świętami zjawiało się troje rodzeństwa Laury, przyjeżdżał ojciec Elliotta, a czasem też jego siostra. Siostry i brat Laury zawsze zatrzymywali się u Mirandy, w obszernym domu w stylu georgiańskim, zbudowanym z brązowego kamienia. Od śmierci męża Miranda mieszkała w nim sama; gdy umarł - Laura miała zaledwie trzy lata.

Teraz ambicją Laury było, żeby na wigilijnej wieczerzy, której podstawę stanowiły owoce morza i makaron, cała rodzina spotykała się u nich: w niewielkim i przyciasnym domu jej i Elliotta. Laura wszystko przygotowywała sama — od maka-

ronu poczynając, a na cieście *Buche de Noel*\* kończąc. Praca tak ją wyczerpywała, że gdy następnego dnia zasiadała do świątecznego obiadu u Mirandy, ledwo coś skubnęła na talerzu. Miranda zaś na ten rodzinny obiad w pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia sprowadzała wyszukane dania z eleganckiej restauracji „Palatial Palate”. Elliott zgromadził cały tuzin fotografii, na których widać, jak Laura przysypia, podczas gdy inni uczują. Tak go to irytowało, że stale sobie obiecywał, iż któregoś roku zaprotestuje. Nie starczyło mu jednak odwagi, by wtrącać się w świąteczne tradycje MacDermottów, przekazywane z pokolenia na pokolenie; bał się działać przeciw ich zwyczajom. Zwłaszcza że nawet Suzanne, niezbyt przyjacielsko usposobiona starsza siostra Laury, i jej nad wiek rozwinięty, przemądrzały synek wydawali się w święta swobodni i wyluzowani. Przebywanie z ro-

\* *Buche de Noel* - specjalne ciasto czekoladowe przypominające polano, tradycyjnie podawane na Boże Narodzenie.

dzeństwem sprawiało Laurze niemal dziecinną radość, co utwierdzało Elliotta w nadziei, że w przyszłości i jego córeczki też będą się lubiły. Był przekonany, że tego rodzaju uczucia należy kultywować. Sposób bycia rodziny jego żony bardzo się różnił od pełnego rezerwy i dalekiego od czułości zachowania jego własnej siostry, Sary, która studiowała dramaturgię na środkowozachodnim uniwersytecie w Chicago.

— Ach, cześć — niepewnie odpowiadała, gdy do niej dzwonił. — O co chodzi? Czy czegoś potrzebujesz? — Rozmawiali o niczym, z trudem szukając słów. Na urodziny jego córeczek Sarah zawsze przysyłała im bony na zakup książek.

Matka Elliotta często powtarzała, że Sarah jest podobna do ojca: rezolutna, pewna siebie, polegająca tylko na sobie.

- A jaki wobec tego jestem ja? — głośno zastanawiał się Elliott. — Czyżbym był mięczakiem? Kimś uzależnionym?

- Jesteś dobrym, wrażliwym człowiekiem - zapewniała go matka. — I nie ma w tym nic złego: mężczyzna nie musi się wstydzić swojej dobroci.

Cieszyło go, że może brać przykład z matki. Ale szukał też odpowiedzi na pytanie, dlaczego rodzeństwo Laury jest tak sobie bliskie. Laura mu tłumaczyła, że było ich czworo i dość wcześnie doszli do przekonania, a raczej intuicyjnie wyczuli, że muszą trzymać się razem i walczyć w jednej drużynie przeciwko Mirandzie uzbrojonej w niewidoczną tarczę. Muszą stać się dla siebie i matką i ojcem albo... zginąć.

Tym razem zbliżającej się rocznicy ślubu Elliott nie chciał przesunąć na inny termin nie tylko ze względu na szacunek dla mającego nastąpić spotkania całego ich klanu, ale także z obawy, by nie stracić szansy na wyjątkowy jubel, największy z dotychczasowych. Czternaście dni przed Bożym Narodzeniem kupił Laurze bilety na wspaniałe widowisko cyrkowe *Quidam* w „Cirque du Soleil”. Po

dwóch tygodniach występów cieszących się dużym powodzeniem w Suffolk Downs w centrum Bostonu spektakl właśnie się przeniósł do cyrku „Du Soleil”. Laura była świetną gimnastyczką. W szkole średniej brała udział w międzyszkolnych zawodach w skokach i startowała nawet w mistrzostwach okręgu. Ale gdy dorosła, ku jej zmartwieniu okazało się, że jest za wysoka, by nadal ten sport uprawiać. Laura i ich średnia córka, Rory, która chodziła na zajęcia z gimnastyki do klubu YMCA, obejrzały taśmy z poprzednich, wspaniałych przedstawień cyrku „Du Soleil” i obie za najlepszy występ uznały *Allegrię*.

Elliott wręczył Laurze bilety do cyrku wraz z zaproszeniem do restauracji; był to karnet, na którym piórkiem narysowano karykaturę jego i żony. Rysunek przedstawiał ich oboje, jak pogryzają z dwóch stron jedną i tę samą nitkę spaghetti. Gdy się spotkali w ulubionej knajpce, noszącej nazwę „Małe Włochy” (nawiasem mówiąc, lokalik na to

miano zasługiwał, było tam bowiem tylko sześć stolików), Laura podskoczyła na swoich wciąż jeszcze bardzo zgrabnych nogach i objęła nimi męża w pasie, jak małpka. Elliotta ogromnie ta scenka ubawiła. Z satysfakcją stwierdził, że ma tak sprawną żonę, iż choć jest już panią w średnim wieku, nadal potrafi robić „gwiazdę”, czyli przewrót bokiem, i przewrotki do tyłu.

- Ach, ty mój hultaju! — zawołała. - Tego właśnie pragnęłam bardziej niż czegokolwiek innego. Codziennie czytałam o tych występach i marzyłam, by choć jeden zobaczyć, ale bilety wydawały mi się zbyt drogie...

- Na pewno kosztują mniej niż... Paryż - zażartował Elliott, nawiązując do przełożonego terminu podróży poślubnej, planowanej swego czasu na drugie (a może chodziło o pierwsze) lato po ślubie, zaraz po ukończeniu studiów. Tymczasem ani ze studiów, ani z wyjazdu do Europy nic nie wyszło i do tego tematu już nie wrócili po tym,

gdy Laura drżącym głosem oznajmiła mężowi, że przydarzyła im się wpadka i „są” w ciąży.

— Właśnie... Paryż... — westchnęła Laura. — Paryż zachowamy na dwudziestą rocznicę ślubu. Dziewczynki będą na tyle duże, że bez obawy mogą zostać z matką i same się o siebie zatroszczyć, gdyby się okazało, że nikt nie pamięta o ich podstawowych potrzebach. Z wyjazdem poczekamy więc jeszcze sześć lat. Annie będzie już w college'u... A zresztą widowisko, na jakie się wybieramy, to dla nas przedsmak Paryża... Ell! Tak bardzo się cieszę, że załatwiłeś te bilety, zamiast mi kupować jakąś głupią kamizelkę, która pewnie miesiącami wisiałaby w szafie, bo grubo bym w niej wyglądała.

„A więc to jednak była czternasta rocznica — z ulgą pomyślał Elliott. - Nigdy już żadnej rocznicy nie pomyślę — obiecał sobie. — Nigdy...”

Gdy zasiedli pod cyrkowym namiotem, Laura w ciemności uścisnęła dłoń Elliottowi, bo właśnie na arenie ukazała się dziewczyna z hula-hoop.



Niczym afrykańska bogini brzęczała obręczami w kolorach tęczy: najpierw wprawiła w ruch jedną obręcz, potem trzy, a za chwilę pięć, kręcąc dziećcykami biodrami. W pewnym momencie uniosła do góry nogę i robiąc na stojąco szpagat, obracała jedną obręczą dookoła dużego palca u nogi. Na linach umieszczonych wysoko pod sufitem fruwały zjawy w maskach, po czym czerwone jak krew szaty z nich opadły i odsłoniły atletów, którzy wyginając się i rozciągając swoje do niemożliwości napięte mięśnie, wyglądali tak, jakby stanowili człokształtną konstrukcję ze stali, pokrytą skóropodobną tkaniną.

Podczas przerwy, mimo protestów Laury, Elliott uparł się, żeby kupić jej podkoszulek z charakterystyczną aplikacją w postaci słoneczka z posrebrzonymi promieniami.

— Ależ, Elliott! Ten trykot uwydatni wszystkie moje fałdki i wypukłości!

- Przecież nie masz żadnych wypukłości! - za-

protestował, poklepując żonę po niewielkiej, lekko obwisłej fałdzie na brzuchu, jaka po urodzeniu dziewczynek pojawiła się na kiedyś wiotkiej kibici, z której Laura była taka dumna.

Elliott uśmiechał się pod nosem, bo oczami wyobraźni widział już żonę taką jaka mu się później ukaże — nagą być może zaprezentuje mu się w samym tylko nowym, ciasno ją opinającym podkoszulku, i zobaczy zarys jej ud w kolorze kości słoniowej, odbijający się od bladoniebieskiego prześcieradła. Potem Laura, parodiując księżną Dianę, będzie spoglądać na niego spod lekko opuszczonych powiek. Takie scenki zostawiała sobie specjalnie na chwile, gdy znajdowali się w łóżku.

— Dobrze przynajmniej, że ten trykot jest elastyczny i utrzymuje ciało w formie — skonstatowała teraz, wydymając wargi.

Elliott pomyślał, że wolałaby dostać podkoszułek z bufiastymi rękawami i wciętym stanem.

Po jakimś czasie sam przeniesie ten podkoszu-

lek, wciąż jeszcze w torebce z celofanu, do swojej szafy i włożył do szuflady, w której trzymał bieliznę. Ciągle też miał w samochodzie taśmę z nagraniem skrzekliwej i smętnej melodii, stanowiącej tło muzyczne przedstawienia *Quidam*. A kiedy pewnego dnia taśma pękła, gdy jej słuchał, zawożąc Rory do szkoły, Elliott się rozpłakał i nawet nie zadbał o to, by zetrzeć dłonią łzy; Rory zaś patrzyła przed siebie, ściskając torbę z książkami.

Kiedy tamtej nocy opuścili pole cyrkowe i czule przyciśnięci do siebie udami znaleźli się w tłumie napierających zewsząd ludzi, Elliott zdołał zauważyć, że jest już pół do dwunastej, a on czuje się lekko wstawiony po dwóch piwach, wypitych niemal jednym haustem podczas przerwy, oraz po winie, jakim się delektowali z Laurą podczas kolacji.

— Zdrzemnij się — zaproponowała mu żona. — Sama też chętnie uciąłabym sobie drzemkę, bo jestem zmęczona, ale samochód mogę śmiało dalej prowadzić — zapewniała. Potem szukała czegoś

w swojej przepastnej torebce i wyciągnęła najpierw pampersy Amelii, a potem kredkę do ust, której pokrywka się gdzieś zapodziała, toteż pomadka była oblepiona nitkami, wacikami i okruciami gumy do żucia. — Do diaska! — złościła się. — To szminka firmy Elizabeth Arden. Dostałam ją w prezencie od mamy. — Po chwili znalazła kółko na klucze z zawieszonym na nim, w charakterze metalowego wisiorka, laminowanym zdjęciem Rory. Rory została sfotografowana w momencie zwycięskiego, najlepszego z wykonanych dotąd zesko-ku z równoważni. Laura grzebała dalej.

- Kupię ci inną kredkę do ust — zobowiązał się Elliott, zmęczony jej szukaniem.

- Nie o nią mi chodzi. Muszę znaleźć i zażyć tylenol, bo oczy tak mnie pieką jakbym miała ogień pod powiekami — wyjaśniła.

- Wiem, skąd to się bierze: pewnie w winie było za dużo żywicy. Od tego się dostaje bólu głowy... - tłumaczył Elliott.

— O, znalazłam! — Laura trzymała na dłoni kilka tabletek tylenolu, poplamionych czerwoną pomadką. — I niech mi pomogą, bo naprawdę bardzo mnie boli głowa - powiedziała. — Chyba dostałam migreny, EU.

— Usiądź spokojnie i odpocznij chwilę — radził. — Przecież nie śpieszymy się do domu na wyznaczoną godzinę.

— Tak, ale nie lubię zostawiać Annie samej...

— Na Boga, ona ma już trzynaście lat, Lauro! Ty w jej wieku wynajmowałaś się jako babysitterka co najmniej do połowy waszych sąsiadów. Ba, za zarobione pieniądze kupiłaś nawet samochód...

— Tak było — przyznała, opuszczając się nieco niżej na siedzeniu. Choć to zdarzyło się dawno temu, wciąż czuła z tego powodu dumę. — Masz rację, postaram się chwilę odpocząć.

Elliott obudził się, gdy uruchomiła silnik. Parking w Suffolk Downs był pusty lub prawie pusty. Widział, jak wydymają się na wietrze podobne do

kapeluszy niebiesko-żółte namioty. Artyści cyrkuwi zbierali się po występie w grupki, palili papierosy i sprawiali wrażenie zagubionych. Przyjrzał im się i zobaczył, że ich oczy w kształcie migdałów są starannie wymalowane i obwiedzione złotym i czarnym kolorem. Ten specyficzny makijaż nadawał młodym cyrkowcom szokująco dorosły wygląd, podczas gdy ich ciała zachowały młodzieńczą sylwetkę. Elliott dowiedział się od żony, że wielu ich brało udział w olimpiadzie jako gimnastycy; inni tańczyli w balecie, ale ze względu na gibkie ruchy i elastyczne mięśnie bardziej nadają się do cyrkowych sztuczek niż do sportowych skoków lub tanecznych piruetów. Żona powiedziała mu także, że choć to stanowi zaprzeczenie wszelkiej logiki, sporo tych zdolnych tancerzy i gimnastyków pali papierosy, by zachować szczupłe figury.

— Czuję się lepiej — w pewnym momencie oznajmiła Laura. — Mam wrażenie, że ból minął, pozostawiając

stał tylko ucisk. Chciałabym jednak jak najszybciej znaleźć się w domu, by się położyć.

— Przykro mi, kochanie, ale sama widzisz... — mruknął, kiedy wjechali w Sumner Tunnel, w którym jak w każdy sobotni wieczór było tłoczno. Elliott czuł, że go usypia to ciągłe przystawanie i przyspieszanie, przystawanie i szarpnięcie do przodu. Obudziło go raptowne wołanie żony.

— Elliott! — krzyczała z autentycznym przerażeniem. — Elliott! Zapaliła się lampka sygnalizująca brak paliwa.

— To nic - odparł. - Pewnie nastąpiło zwarcie.

— A teraz zaświeciło się światło akumulatora! Czy to także nic wielkiego? — zareplikowała Laura, a ton jej głosu dziwnie przypominał teściową.

— Niestety, to już prawdziwy kłops... - oznajmił Elliott, który nagle wytrzeźwiał i poczuł suchość w ustach. Nie kryjąc wzburzenia, usiadł i obserwował, jak ich samochód zwalnia i nieruchomieje, a światła są coraz ciemniejsze, aż całkiem gasną.

Laura się pochyliła, żeby wcisnąć guziczek z czerwonym trójkącikiem i włączyć ostrzegawcze światła migające, ale one — co było logiczne — także nie działały. Elliott sięgnął do wyłącznika, by zasygnalizować, że mają kłopoty, lecz klaksony w samochodach stojących za nimi co chwila wybuchały dziką kakofonią dając wyraz frustracji kierowców. Elliott powoli przeszedł wzdłuż wilgotnej ściany tunelu, by zajrzeć pod maskę.

Z tego, co zobaczył, zrozumiał dokładnie tyle, ile by wiedział, gdyby go poproszono, żeby się podjął operacji mózgu. Już jako młody chłopiec wyróżniał się beztalenciem w tej dziedzinie. Kiedy z grupą kolegów zaglądał pod maskę samochodu, nigdy nie potrafił zgłębić tajemnic silnika, nawet gdy mu inni wskazywali nieprawidłowości. Nie dostrzegał różnicy między przewodami akumulatora a linką hamulca. Jego zdaniem wyglądały tak samo. Owszem, potrafił napełnić zbiornik spryskiwacza szyb lub uzupełnić olej, ale nigdy nie był



pewny, czy dobrze odczytał wskaźnik jego poziomu. Brakowało mu tej pewności, jaką mieli inni. Uruchomienie samochodu przez połączenie odpowiednich drutów było dla Elliotta takim samym niedościgłym marzeniem, jakim dla wielu byłoby zagranie na gitarze w zespole Van Halena.

W pewnej chwili podjechał do nich oddział policji konnej K-9; jeden z funkcjonariuszy obiecał, że zaraz im przyśle pogotowie drogowe. Ku ich zdumieniu wkrótce potem wziął ich na hol specjalny pojazd. Kierował nim ogorzały mężczyzna, który wydał się Laurze podrywaczem spod mostu. Holował ich jakieś pół kilometra i zostawił tuż obok ruchomych schodów, którymi robotnicy zjeżdżali w dół „Wielkich Wykopów” przy budowie tunelu. Boston stał się przez tę budowę potwornie zakurzonym miejscem, a także miastem, w którym sparaliżowany był ruch drogowy. Obiecywano mieszkańcom, że przebudowa potrwa trzy lata, ale ciągnęła się już ponad siedem. Władze miejskie dla

polepszenia nastroju mieszkańców porozlepiały śliczne plakaty, na których prezentowano ciekawe wykopaliska, odsłonięte podczas prac ziemnych. Pokazano między innymi prehistoryczne rybie szkielety i fundamenty z czasów, gdy Ameryka była angielską kolonią. Niewiele to pomogło, bo bostończycy mieli już po uszy tej budowy. Wyjątek stanowił zapewne facet, który był właścicielem urzędzeń dźwigowych. Mieszkańcy grozili politykom, że zostaną odwołani, wnosili skargi do sądów. Turystów, którzy zmierzali na przylądek Cod, kierowano na lotniska na wyspie Rhode.

Laura okropnie podenerwowana zadzwoniła najpierw do domu, a potem, mrużąc oczy, wystukała numer AAA, czyli Amerykańskiego Stowarzyszenia Automobilistów, i połączyła się z działem pomocy drogowej oraz z działem personalnym w sprawie ubezpieczenia. W tym czasie Elliott przyglądał się jasno oświetlonemu wykopowi i rozmawiał z młodym funkcjonariuszem policji, którego

obowiązkiem była ochrona w nocy budowy przed psotnymi nastolatkami i ciekawskimi pijaczkami, wykazującymi dziwną skłonność do odważnych skoków w dół i demonstrującymi swoje „umiejętności” balansowania na poręczach.

Gdy Elliott wrócił do samochodu, żona zrelacjonowała mu przebieg telefonicznych rozmów.

— Dziewczynki dobrze się czują — powiedziała z rzewną nutką w głosie - a wóz holowniczy powinien przybyć w ciągu pół godziny. Boję się tylko, że tymczasem zmarzniemy; szkoda, że nie włożyłam długiego płaszcza.

Elliott zauważył, że Laura ma bardzo podkreślone oczy: ciemnoszare koła pod nimi wyglądały, jakby nałożyła cienie z odwrotnej strony. Jedno oko było nabiegłe krwią. Pomyślał, że chyba za ciężko pracuje, prowadząc małą projektancką firmę. Wydawała reklamowe foldery i broszury, a co pewien czas jakiś druk, sponsorowany przez władze stanu. Poza tym nie ustawała w popieraniu

wszelkich szkolnych inicjatyw, a także starała się rozbudzać w swoich córkach zainteresowania wykraczające poza ramy programu szkolnego, organizując dodatkowe zajęcia. Dziewczynki co roku startowały do tych zajęć z nowym entuzjazmem, który okazywał się jednak zbyt krótkotrwały.

— Podle się czuję, Elliotcie. Mam uczucie, jakby mnie ktoś znokautował. Położę się na plecach choć na chwilę, dopóki nie przyjedzie wóz holowniczy. Źle ze mną Ell! Naprawdę źle. Coś dziwnego się dzieje w mojej głowie, i to nie jest zwykły ból...

— Żona ciężko pracuje - tłumaczył Elliott młodemu policjantowi o imieniu Tony.

— Tak samo moja żona... — westchnął Tony, częstując Elliotta papierosem, choć to było zabronione. Elliott wziął od niego marlboro, bo uznał, że tego wymaga towarzyski i męski sposób bycia, mimo że już od siedmiu lat nie palił.

Żona Tony'ego była pielęgniarką w szpitalu

„Mercy”. Pracowała tam od pięciu lat, przy czym dyżury miała tylko w godzinach popołudniowych.

— Ale i tak nie poradziłibyśmy sobie bez pomocy mamy i siostr — zwierzał się Tony, potrząsając głową, jakby chciał wyrazić w ten sposób wdzięczność rodzinie.

Elliott też potakiwał, chociaż ani Miranda, ani jego ojciec w odległym Boca Raton nie służyli im pomocą. Przeciwnie, Elliott uważał wizyty ojca za dość irytujące wydarzenia, nigdy się jednak głośno do tego nie przyznał. Ojciec przyjeżdżał do nich dwa razy w roku, zawsze w towarzystwie Donny, kobiety, która mieszkała w domu tym samym co on i którą przedstawiał jako „swoją zaprzyjaźnioną panią”. Elliotta te wizyty denerwowały nie dlatego, by starszy pan, Elliott Banner senior, nie był miły dla rodziny syna; Donna też starała się zyskać ich sympatię: zawsze przywoziła prezenty dla Laury i dziewczynek; były to zwykle odważne bikini w przesadnie kolorowe kwiaty. Elliotta dener-

wowało to, że na szyi Donny zobaczył wisiołek z brylantem ze ślubnego pierścionka swojej matki.

Opuściwszy Tony'ego, Elliott znowu się pojawił w samochodzie, spodziewając się, że zastanie Laurę śpiącą i zwinietą na kształt krewetki. Ale to, co ujrzał, zaszokowało go. Laura nie przejawiała skłonności do dramatycznych zachowań, tylko w wyjątkowych sytuacjach pozwalała sobie na okazywanie słabości. Miała jednak obniżoną tolerancję na pewnego rodzaju bóle; nieraz przychodziła do męża parokrotnie w ciągu wieczoru, by się poskarżyć, że przecięła sobie palec papierem, i pokazywała mu ranę, zupełnie jakby była dzieckiem. Lecz teraz na wpeł leżała, z plecami wygiętymi w łuk w stronę tylnego siedzenia, i kołysała się, przyciskając dłońmi skronie.

— Elliotcie! — szepnęła. — Muszę zaraz jechać do szpitala. Nie sądzę, żeby to była migrena. Bo gdyby była, musiałabym uznać, że nigdy jej dotąd nie miałam.

— Za chwilę będzie tu pomoc drogowa — tłumaczył bardziej ze strachu niż z niewiary w to, że cierpi. — Uruchomią nam samochód, chyba żeby się okazało, że nie działa alternator... - Elliott przyglądał się wyciągniętej, zmęczonej twarzy Laurry: blakła w oczach, jak farby wodne Santas albo dynie, które córki lubiły malować na szybach, a które potem rozpuszczone w deszczu spływały po szkłe. - Widzę, że się źle czujesz - mówił, obejmując żonę z nadzieją, że uda mu się ją utulić. — Może cię trochę pomasować, co? Pozwól mi się potrzymać w ramionach.

- Muszę zaraz jechać do szpitala, Elliotcie! - jęczała Laura, skręcając się z bólu. Elliott przypominał sobie, że gdy żona rodziła Rory, a poród był pośladowy, cierpiąc, wrzeszczała, że życzy mu śmierci. Zastanawiał się, czy to możliwe, żeby ból głowy był w stanie wykończyć kobietę, która potrafiła robić przewrotki do tyłu i gwiadzę nie gorzej niż jej córki, a po upadku z konia w czasie po-

bytu u przyjaciół ze śmiechem podniosła się z ziemi i nawet nie utykała... Ale Laura taka właśnie była: pełna sprzeczności, a jednak umiejąca się dostosować do różnych, nawet niekonwencjonalnych sytuacji.

— Poczekaj jeszcze parę minut, zobaczymy, jak się poczujesz. Obiecuję, że jeśli trzeba będzie, wezwę ambulans. — Gdyby mógł, wziąłby Laurę na ręce i ruszył z nią biegiem do szpitala... naprawdę... Potem sobie uświadomił, że był chyba zbyt przerażony, by działać; zbyt nieufny czy wręcz podejrzliwy, by uwierzyć, że to wszystko było najprawdziwszą prawdą. A może był tylko jakiś zagubiony...? Po czasie sam siebie za to przeklinał.

— Proszę pana! — krzyknęła wtedy Laura do policjanta; Elliott, nieprzygotowany na taką reakcję, aż podskoczył z wrażenia i niewiele brakowało, a byłby sobie zdarł naskórek. — Panie policjancie!

Tony przybiegł truchtem, z papierosem zwisającym w kąciu dolnej wargi.



— Mój mąż nie chce mnie zawieźć do szpitala, a ja jestem chora, bardzo chora.

— Ależ nie, właśnie powiedziałem, Lauro... — bąkał Elliott — że zaraz cię tam zawiozę.

— Co żonie dolega? — spytał Tony.

Elliott bezradnie wzruszył ramionami.

— Co pani dolega, proszę pani?

Laura kołysała się coraz szybciej i szybciej, a potem nagle przestała i dłonie, którymi ścisnęła skronie, opadły.

— Przestało mnie boleć - oznajmiła. — Ból głowy ustał.

— A widzisz? — wypomniał jej Elliott. Sam był tym jednak zaskoczony i starał się nadać głosowi przekonujące brzmienie.

— Ale ze mną dzieje się coś złego, Elliotcie! Coś jest nie w porządku... Mam wrażenie, jakby coś się przelewało w mojej głowie. Nie chcę dłużej siedzieć w tej brudnej dziurze. Chcę być w szpitalu, gdzie jest jasno i czysto...

— Wóz holowniczy powinien lada chwila się tu zjawić.

— Wezwij pogotowie, Eliotcie! Natychmiast! Słyszysz? Czy nie mógłby pan zakuć go w kajdanki? — zwróciła się do Tony'ego. — Albo zastrzelić? Muszę natychmiast znaleźć się w szpitalu!

Tony szeroko otworzył oczy, raptownie się odwrócił i szybko skierował się do radiowozu.

— Moja żona jest bardzo zgodną osobą — zapewnił go Elliott, podążając za nim.

— Na pewno. Wcale w to nie wątpię, ale kto się na nich wyzna... Mógłbym ją tam zawieźć — powiedział Tony — ale nie ma mowy, żeby się stąd wydostać. Wezwę przez radio ambulans. Szpital „Mercy” jest blisko, tylko sześć, góra osiem przecznic.

— To jest chyba najlepszy pomysł — zgodził się Elliott. - Żona swoim zachowaniem za daleko się posuwa. Nie poznaję jej... Może jest to jakieś zatrucie pokarmowe lub coś w tym rodzaju.

— Na to i w szpitalu nic nie poradzą. — Tony wzruszył ramionami i osłonił dłonią płomień zapalniczki. — W takich wypadkach pozostaje tylko czekać. Organizm musi sam wydaląć truciznę...

— Może jednak pomogą... — upierał się Elliott. I po chwili wrócił do żony.

Laura pojękiwała, przysunawszy głowę do piersi męża. Jej zgarbione plecy wyglądały jak pozbawiona kości kupka mięśni. Elliottowi minuty wydawały się ciągnąć w nieskończoność. W końcu usłyszał przyciszony sygnał karetki pogotowia; dźwięk stawał się coraz wyraźniejszy. Tony ruszył w stronę tunelu i zablokował ruch kołowy, ustawiając specjalne zapory. Potem Elliott przyglądał się, jak sanitariusz, kilkakrotnie nakłuwając rękę żony, usiłował zrobić jej zastrzyk z roztworu soli fizjologicznej. Żyły Laury nie dość, że były bardzo małe i głęboko schowane, miały jeszcze tendencję do uciekania. Mdlała przy najzwyklejszym rutynowym pobieraniu krwi. Teraz jednak w ogóle na za-

strzyk nie zareagowała, nawet się nie skrzywiła i Elliott poczuł ogromny niepokój; zrozumiał, że naprawdę dzieje się z nią coś złego. Sanitariusze przyłożyli do czoła Laury woreczki z lodem. Strażacy, którzy przyjechali z ogromnym łoskotem i z całym wyposażeniem, stanęli obok i tylko się przypatrywali. Dlaczego się tu zjawili - Elliott nie był w stanie pojąć... Najmniejsza w zespole karetki pielęgniarka, dziewczyna tak drobna, że przypominała Elliottowi uczennicę z siódmej klasy, spytała go, czy chciałby towarzyszyć żonie w ambulansie, czy woli pojechać za nimi swoim samochodem.

— Mój samochód jest niesprawny - wyjaśnił Elliott. — Od tego się wszystko zaczęło.

— Może żona uderzyła się w głowę? — zainteresowała się mała pielęgniarka, wskazując gestem, że w takim wypadku należałoby założyć chorej wysoki unieruchamiający kołnierz.

— Nie, nic takiego się nie zdarzyło — odparł Elliott. — Wprawdzie samochód zepsuł się nam

w tunelu, ale żona poczuła ból głowy dopiero tutaj, gdy czekaliśmy na pomoc drogową. Chociaż nie — poprawił się po chwili - może się myłę... Poczuła ból, kiedy byliśmy na parkingu w Suffolk.

— Czy ból był bardzo silny?

— Tak. Przypominał atak migreny.

— A żona często je miewa?

— Nigdy jeszcze nie miała prawdziwej migreny, dlatego nie była pewna, czy to, co odczuwa, jest bólem migrenowym, ten bowiem był znacznie silniejszy niż zwykle.

— Czy ktoś z państwa odbywał ostatnio jakieś zagraniczne podróże?

— Nie, chyba że do zagranicznych krajów zaliczymy Lynn — zażartował Elliott, lekko pokpiwając z tego brudnego i zaniedbanego miasta w najbliższym sąsiedztwie Bostonu. W Lynn Elliott prowadził hurtownię tanich książek, sprzedawanych w systemie permanentnych rabatów.

— Pytam o to, bo lekarz z OIOM-u wspomniał

nam przez radio, że istnieje możliwość zakażenia wirusowego... — wyjaśniła pielęgniarka bez cienia uśmiechu. — A więc pojedzie pan z nami?

— Wszystko zepsułam — szepnęła Laura, kiedy mąż usiadł obok niej na twardej ławeczce, a rozklekotana i trzęsąca się karetka ruszyła w drogę.

„To tak — zżymał się w duchu Elliott — przewozi się u nas słabych, ciężko chorych pacjentów?”

— Zepsułam naszą rocznicę — z trudem mówiła Laura - i nawet nie dałam ci prezentu, jaki dla ciebie kupiłam.

— Chciałbym, żebyś się lepiej poczuła: to będzie dla mnie najmiłszy prezent — powiedział, głaszcząc żonę po ręce. Na jej dłoni zauważył dziwne, brązowe, jakby wątrobowe plamy pod paznokciami.

— Jest schowany w mojej szafce nocnej, w srebrnym pudełku — powiedziała Laura, krzywiąc usta; widać było, że choć się stara, nie może tego grymasu opanować. — Poszukasz go? Dołączyłam też karnet - dodała.

— Jutro razem poszukamy — odparł.

Po chwili Laurę wyniesiono z karetki i od razu otoczyła ją chmara ludzi w białych spodniach i niebieskich koszulach.

— Proszę tu zaczekać — zwróciła się do Elliotta sympatyczna starsza pani. — Muszę zrobić kserokopię z pańskiej legitymacji ubezpieczeniowej. Po-  
tem zabiorę pana na oddział i będzie pan mógł obserwować, co się dzieje z żoną.

Elliott poczuł się jednocześnie zawstydzony i dumny, że Laurę ominęło przykre przejście przez hałaśliwą i brudną poczekalnię. Wyglądało tam tak jak na fotografii z kraju Trzeciego Świata. U rannych w głowę przez bandażę sączyła się krew. Matki trzymały w ramionach dławiące się kaszlem niemowlęta, których usta i nosy szkliły się od przeźroczystej, zielonej wydzieliny... Elliotta poproszono, żeby dokładnie opisał, jaki był dotychczasowy stan zdrowia żony. Powiedział, że do tej pory cieszyła się wspaniałym zdrowiem, a jedyną do-

legliwością, jaką odczuwała, były sienne katary. Po-  
tem w towarzystwie starszej pani wszedł do spe-  
cjalnie zaciemnionego pokoju, gdzie Laura pod-  
dawana była specjalistycznym badaniom. Lekarz,  
obserwując jej oczy, pouczał, żeby patrzyła w górę,  
w lewo, w prawo i jeszcze raz w prawo.

- A ten ból - spytał - kiedy się u pani zaczął?

- Podczas kolacji — odpowiedziała.

- Nic mi o tym nie wspomniałaś - zdziwił się  
Elliott.

- Bo myślałam, że to tylko zwykły ból głowy,  
nic więcej... — tłumaczyła się.

- Czy zaobserwowała pani u siebie niewystę-  
pujące wcześniej objawy? — dociekał lekarz, gdy  
sposstrzegł, że Laura wykonała nieokreślony ruch  
ręką, jakby chciała odpędzić muchę. — Chodzi mi  
o to, czy widzi pani jakieś błyskawice lub świetlne  
punkty, które się pojawiają, gdy pani patrzy kątem  
oka. Czy miała pani tak zwaną aurę?

- Nie - odparła Laura. — Czułam tylko straszli-



wy ból, który wciąż narastał, tak że w końcu stał się nie do zniesienia... Trudno mi określić, jakiego rodzaju był to ból...

— Muszę się z kimś skonsultować, proszę pani — powiedział lekarz, a zobaczywszy Elliotta, dodał: — Witam pana, zaraz wrócę.

Rzeczywiście, młody doktor wrócił szybciej, niż się Elliott spodziewał, prowadząc ze sobą starszego kolegę. Do tej pory Elliott nie widział — nawet w czasie pobytu w szpitalu ich córki, Annie, gdy dziewczynka, zmagając się z zapaleniem opon mózgowych, była bliska śmierci — by lekarz po odejściu od łóżka pacjenta tak szybko do niego wracał. Nowo przybyły doktor wydawał się o jakieś dziesięć lat starszy od Elliotta, miał bujną fryzurę i był siwy jak gołąbek. Zanim się odezwał, Elliott po sposobie bycia poznał, że angielski nie był jego pierwszym językiem.

— Nazywam się Campanile, doktor Campanile — przedstawił się — i myślę, że będziemy musieli

zrobić zdjęcie pani głowy — oznajmił Laurze tonem bardziej niż przyjacielskim, wręcz czułym.

— Dzwonnica... — szepnęła Laura; nazwisko lekarza skojarzyła z włoską nazwą dzwonnicy.

— Pani mówi po włosku? - ucieszył się.

— Nie, ale byłam we Włoszech. W gimnazjum śpiewałam w szkolnym chórze, z którym pojechaliśmy na dwa dni do Florencji i na trzy do Paryża.

— Firenze... — uśmiechnął się i potakiwał, gdy pielęgniarka przetarła szyję Laury wacikiem nasyconym roztworem przeciwbólowym, po czym wprowadziła biały zgłębnik, wielkością przypominający gruby termometr. - Moi rodzice mieszkali w Sienie. A we Florencji nie byłem od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego siódmego roku.

— Ja byłam tam dziesięć lat wcześniej, bo w siedemdziesiątym siódmym — powiedziała Laura.

Po chwili lekarz półgłosem wydał polecenie pielęgniarkom, by ostrożnie przenieśli Laurę do łóżka na kółkach.

Elliott usiadł na podłodze przed pracownią USG, gdzie Laurę przesuwano powoli przez ogromny tomograf komputerowy, podobny do kabiny statku kosmicznego. Ponieważ na terenie szpitala zakazano używania telefonów komórkowych, Elliott ruszył na poszukiwanie aparatu stacjonarnego. Znalazł go w jakimś pustym pokoju biurowym i zadzwonił do Stowarzyszenia AAA, żeby się dowiedzieć, co się dzieje z jego samochodem. Uspokoił się, otrzymawszy wiadomość, że samochód został przewieziony do warsztatu bardzo blisko ich domu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła czwarta rano. Z pewnymi oporami zadzwonił do teściowej. Miranda odpowiedziała po pierwszym sygnale, tak jakby czekała na telefon.

— Przepraszam, że cię o tej porze niepokoję — powiedział — ale nasze dziewczynki mogą cię potrzebować. Laura nagle zachorowała: jesteśmy teraz w szpitalu „Mercy”, a Annie z Rory i Amelią są same w domu...

— Ależ to oczywiste, że zaraz tam pójde — zapewniła. - Powiedz mi, co się stało Laurze.

— Ma silny ból głowy...

— A nie skarżyła się, że boli ją kark? - weszła mu w słowo, po czym oboje zamilkli. Przypomnieli sobie groźne objawy zapalenia opon mózgowych u Annie i bali się głośno wyrazić obawy.

— Nie - uspokoił teściową. - Boli ją tylko głowa i odczuwa silny wewnętrzny ucisk. Właśnie robią jej badania tomograficzne.

— Naprawdę? - zdziwiła się Miranda. - Może powinnam dziewczynki przyprowadzić do szpitala?

— Na razie nie — zdecydował Elliott. — Nie budź ich! Weź klucz, który jest pod licznikiem, wejdź do domu i czekaj na mój telefon. Doceniam twoje poświęcenie, Mirando, i dziękuję.

— Daj spokój! — powiedziała z powagą. — Nigdy mnie nie prosiłście o pomoc. Czuję się wręcz uprzywilejowana.

„Dość dziwacznie teściowa wyraża swoje po-

glądy" — pomyślał i wrócił do pracowni tomograficznej; Laury już tam nic było. Nie zastał też doktora o dźwięcznym włoskim nazwisku. Spotkał natomiast lekarza młodszego, o którym nie wiedział, czy robi w szpitalu specjalizację, czy jest stażystą. Młody człowiek oparł o szafkę z lekarskimi twardą podkładkę i wypełniał na niej jakiś formularz.

- Szukam żony — poinformował go Elliott.

Młody lekarz uśmiechnął się do niego jakby z pewną niechęcią czy ze strachem.

- Może pan porozmawia z doktorem Campanile - zaproponował i wskazując piórem na górę, dodał: - Pańska żona jest piętro wyżej w sali dwieście dwa, łóżko B. Została przyjęta na oddział.

- Czy po to, by zrobić dalsze badania? - spytał Elliott.

- Nie, jest przyjęta do szpitala jako pacjentka — odparł stażysta.

- Zostanie tu na noc?

Młody mężczyzna chwilę rozważał, co ma odpowiedzieć.

— Tak — wydukał w końcu.

Elliott szybko pobiegł na drugie piętro i bez trudu odszukał Laurę. Leżała wysoko na poduszkach tylko w bluzce, swojej własnej, białej, wyszywanej, i w satynowej bieliźnie.

Doktor Campanile, jakby czekał na Elliotta, natychmiast znalazł się u jego boku. W pokoju było jeszcze drugie łóżko, które zajmowała jakaś bezzębna staruszka z żółtymi, posklejnymi włosami; bez przerwy jęczała:

— Chodź do mnie, malutka! Chodź tu, kochanie! Przyjdź no do mnie!

— Wiem - szepnął lekarz. — Postaramy się przynieść pańską żonę jak najprędzej. Szykuje się już pojedynka obok.

Wziął Elliotta za ramię, potem ostrożnie, jakby czekał na pozwolenie, położył mu dłoń na plecach i wyprowadził do sąsiedniego pokoju, gdzie

przy niskim, podniszczonym stoliku stały cztery krzesła. Na stole leżały porzucone rozdania kart pokerowych. Dalej stała zniszczona, pokryta winylem kozetka, a nad nią wisiała na ścianie świąteczna dekoracja w postaci bieżnika z wyhaftowanym napisem „Pokój na ziemi”. Całość otaczał sznur migoczących światełek.

— Biedaczka... — westchnął Elliott, myśląc o staruszce leżącej z Laurą.

— Ta nieszczęsna kobieta nie ma dzieci. Wszystkie dawno umarły, ale w jej chorym umyśle żyją nadal... — wyjaśnił doktor Campanile.

— Można sobie wyobrazić, jakie to straszne przeżycie, gdy dziecko umiera wcześniej od nas — powiedział Elliott.

— Tak, to okropne — przyznał doktor. — Czy pańska żona ma rodzinę? — zapytał nieoczekiwanie.

— Tak. Ma dwie siostry, brata i matkę.

— A blisko mieszkają?

— Brat Laury mieszka w Cambridge, a matka

w Natick. Jeśli zaś chodzi o siostry, to jedna mieszka w Kalifornii, a druga, Angela, przebywa w Chicago na studiach medycznych. Kiedyś była nauczycielką, uczyła przedmiotów ścisłych, ale pewnego dnia uświadomiła sobie, że właściwie zawsze chciała być lekarzem.

- Dobrze by było poprosić wszystkich najbliższych krewnych żony, aby tu przyjechali.

- Dlaczego? — przeraził się Elliott, próbując stłumić pisk zaleknionego chłopca, jaki się pojawił w jego głosie. — Czy panowie podejrzewają u żony raka mózgu?

- Nie! — uciął krótko doktor Campanile, nie rozwijając tematu.

- Czy Laura jest ciężko chora?

- Nie będzie długo cierpiała, to jej będzie oszczędzone — odpowiedział lekarz. — Ale jest bardzo chora... Spróbuję panu wyjaśnić, co stwierdziłem na podstawie zdjęć komputerowych. Głęboko w mózgu Laury jakaś żyła o osłabionych



ścianach — przypuszczalnie miała to od urodzenia — rozszerzyła się tak, jakby ktoś postawił tamę u ujścia rzeki, i pękła. Dlatego żona nie skarży się teraz na bóle. Nastąpił wylew krwi do mózgu, ciśnienie spadło, więc pacjentka czuje ulgę.

- Czy wiadomo, kiedy ta żyła pękła?

— Przypuszczamy, że stało się to jakiś czas temu... może w samochodzie...

- W samochodzie? Kiedy byliśmy holowani? O Boże, dlaczego jej wcześniej tu nie przywiozłem? A co teraz? Będziecie ją operowali?

Doktor milczał, przyglądając się swoim czystym, bardzo czystym dłoniom. Po chwili spojrzał na Elliotta z udręką mówiącą więcej niż słowa.

— Czy chce pan powiedzieć, doktorze, że Laura ma uszkodzony mózg? Jak bardzo jest uszkodzony? - pytał, a w duchu się zastanawiał, czy jego żona będzie mogła normalnie funkcjonować: mówić, czytać, uśmiechać się, dbać o dzieci... Jak oni sobie poradzą.

— Nie — odparł doktor Campanile. — Pańska żona nie będzie miała uszkodzonego mózgu. To także zostało jej oszczędzone... Laura jest silną i piękną kobietą i nie ma mowy o operacji, bo nie ma tam niczego, co moglibyśmy zoperować, niczego, co dałoby się usunąć lub zamknąć. W mózgu są też mniejsze naczynia, lub — jeśli pan woli — mniej ważne naczynia, które, gdy tętniak zostaje w porę odkryty, można zamknąć. Takie małe naczynie, jeśli uszkodzenie było niewielkie, bo tomograf w porę wychwycił krwawienie, można by było wyeliminować. Ale tu pękło większe naczynie i od momentu, w którym nastąpiło krwawienie, upłynęło sporo czasu. Na tym polega tragedia... Nie mogliśmy wiedzieć, że tam jest tętniak...

— Ja powinienem o tym wiedzieć! — wykrzyknął Elliott.

— Nie, proszę pana. Nie mógł pan o tym wiedzieć. Pana żona też nie mogła tego przewidzieć, nie miała przecież żadnych symptomów.

— A co teraz?

— Teraz? Jak mam to panu powiedzieć? Teraz jest już za późno. Pana żona umrze i jest mi niewypowiedzianie przykro, że muszę pana o tym poinformować. Często, mówię często... nie, naprawdę z taką sytuacją spotykamy się bardzo rzadko — ów pęcherzyk czy tętniak robi się tak cienki, że może pęknąć, na przykład kiedy kobieta rodzi... Więc przynajmniej pod tym względem mieli państwo szczęście, bo posiadacie dzieci, a pani Laura mogła się nimi cieszyć i kochać je. Dowiedziałem się od niej, że mają państwo trzy dziewczynki: dużą, średnią i bardzo małą.

— Jak to, doktorze?! — obruszył się Elliott. — Mówi pan, że moja żona musi umrzeć? Czy tak?

— Tak.

— Ile pozostało jej czasu: miesiący czy tygodni?

— Nie, proszę pana, takie terminy nie wchodzą w rachubę. Niestety, Elliotcie. Zaraz dokładnie panu wytłumaczę, jak to się stanie. Za kilka go-

dzin, a może już za godzinę, żona dostanie ataku. Nie będzie przy tym czuła żadnego bólu. Jeśli sobie tego zażyczy, może dostać środek uspokajający i w ogóle nie będzie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Laura nam jednak oznajmiła, że chce zachować świadomość.

- Więc odkrył pan przed nią całą prawdę?
- Prosiła mnie o to. Nie chcę oszukiwać pacjenta, gdy mam do czynienia z osobą inteligentną.
- Wyjawiał pan żonie prawdę, nie konsultując się ze mną?

- Pańska żona mi powiedziała, że wie, iż umiera.

- Mój Boże! Mój Boże! - lamentował Elliott.

Lekarz wstał i ostrożnie zamknął drzwi.

- Proszę, niech mi pan pozwoli powiedzieć sobie wszystko do końca, a potem odpowiem na każde pańskie pytanie. Za godzinę lub za kilka godzin pańska żona dostanie ataku; być może będzie to niewielki atak. Kilka godzin później przyjdzie drugi. Sądzę, że to się stanie rano. Może się zda-

rzyć, że będzie potem miała jeszcze jeden atak, po którym zaśnie; zapadnie w śpiączkę i umrze.

— Przecież musi być coś, co ją uratuje!

— Niestety, niczego takiego nie ma. Niemniej kiedy stąd wyjdę, poszukam jeszcze w Internecie.

— W Internecie?

— Tak. Będę szukał pomocy w Internecie. Będę pytał kolegów, może ktoś robił jakieś doświadczenia, może gdzieś zastosowano nową metodę, może jest jeszcze jakaś nadzieja...

— Chce pan szukać kolegów w środku nocy?

— Nie wszędzie jest teraz noc: w Anglii, w Australii czy w Niemczech jest dzień.

— Ale skoro pan uważa, że nic nie pomoże...

— Jeśli istnieje jakiś ratunek, znajdziemy go, choć obawiam się, że los pani Laury jest już przesądzony. I radzę, by pan spędził te godziny, które żonie pozostały, z nią i waszymi dziećmi, a jeśli takie będzie wasze życzenie — to także z jej rodziną. Może się pan dowiedzieć, czego żona od was oczekuje,

co możecie dla niej zrobić. Czy ma pan wyrażone na piśmie życzenie żony, by nie podtrzymywać jej życia w razie śmiertelnej choroby?

— Oczywiście! - Elliott odparł ze złością.

— To jest katolicki szpital. Ja jestem katolikiem. Dawniej w sposób barbarzyński sztucznie podtrzymywano życie nieuleczalnie chorych, podłączając ich do specjalnych urządzeń. Obecnie moglibyśmy zrobić to tylko wtedy, gdyby pani Laura zgodziła się zostać dawcą i przekazać komuś potrzebującemu swoje oczy i serce...

— Oczy i serce? - „One należą do mnie!” — w niemym proteście wołał Elliott. W głowie huczał mu tylko ten jeden krzyk czarnej rozpacz. — Ile godzin życia pozostało jeszcze Laurze? Na ile możemy liczyć?

— Trudno określić: osiem, może dwanaście...

— Tylko dwanaście godzin? A przecież żona była zdrową kobietą; nosiła ciężary, potrafiła zrobić gwiazdę...

— I tak długo żyła... Czterdzieści lat z taką, można powiedzieć, bombą zegarową w swoim ciele...

— Nie wiem, jak mam o tym powiedzieć dzieciom.

— Współpracujemy z panią psycholog, która już tu jedzie. Ona panu pomoże. A jeśli chciałby pan skorzystać z mojego wsparcia, to i ja mogę porozmawiać z dziećmi; sam mam dwie córki i dwie wnuczki... - Położył rękę na dłoni Elliotta.

— Czy pan wierzy w Boga? A pani Laura? Czy pańska żona jest osobą wierzącą?

— Zostałem wychowany w wierze katolickiej — odparł Elliott. — Jeśli chodzi o Laurę... żona zawsze w niedzielę rano, jeżeli tylko dzieci wstaną w porę, zabiera je do kościoła. Starsze przystępowały do Pierwszej Komunii. Laura mówi, że jest praktykującą katoliczką i chyba nią jest, ale przede wszystkim dlatego, że chce być w porządku... — Elliott ku własnemu zdumieniu roześmiał się. - Ja uważam się za ateistę, chociaż nie, raczej za agnos-

tyka, bo jestem zbyt wielkim tchórzem, żeby być ateistą.

— Pańska żona prosiła o księdza, ale jeszcze do spotkania z nim nie dojrzała. Ojciec Conley wkrótce przybędzie i poczeka, aż pani Laura będzie gotowa go przyjąć.

— A w jakim nastroju jest moja żona?

— No, cóż... Nie wydaje mi się, żeby była przeżona. Zapewniłem ją że nie będzie odczuwała bólu, a tego najbardziej się bała. Powiedziała mi, że podobnie jak ta stara kobieta, która leży obok niej, myśli tylko o jednym: „moje dzieci, moje dzieci...”

Usłyszawszy to, Elliott się rozpłakał.

— Powiem panu, że czasem w takiej sytuacji ulgę przynosi nam pozbycie się wątpliwości — wyznał doktor, i wyciągnawszy rękę, lekko pogładził Elliotta po ramieniu. — Gdybym tego nie zrobił, nie mógłbym być lekarzem, nie umiałbym spokojnie jeść ani napić się wina. Zawierając się Najświęt-



szej Marii Pannie, możemy mieć nadzieję na dobrą i spokojną śmierć. A spokój jest wartością nie do pominięcia.

- Mówi się: nie do pogardzenia - poprawił go Elliott bez cienia ironii.

- Stale popełniam idiomatyczne błędy - przyznał się doktor Campanile. - Dziękuję, że mnie pan poprawił.

- Proszę mi wybaczyć, panie doktorze, ale jestem taki wzburzony...

- To oczywiste. — Doktor Campanile nie chciał przeprosin. — Czy jest pan gotów zobaczyć się z żoną? — spytał.

Weszli razem; Elliott powłóczył nogami, świadomy tego, jak bardzo jest zmęczony. Czuł, że gdyby teraz zasnął, nie zbudziłby się przed upływem dwunastu godzin. Albo i wcale... Zajrzał przez drzwi do płaczącej staruszki i słyszał, jak pielęgniarka jej obiecuje:

- Pani dzieci już wkrótce tu przyjdą..

— Cześć, kochanie — powiedziała Laura. — Czuję się teraz naprawdę wykończona.

— Czy żona wszystko rozumie? — upewniał się Elliott.

— Ależ tak, Elli — rozwiąła jego wątpliwości. — Potrafię myśleć tak logicznie jak zawsze. Co nie znaczy, że dawniej zawsze myślałam logicznie...

— Zostawię was samych — lekarz wszedł jej w słowo. - Jak mówiłem, chciałbym skorzystać z komputera...

— Pan doktor będzie szukał w Internecie pomocy dla ciebie — wyjaśnił Elliott. — Może gdzieś na świecie prowadzą w tej dziedzinie jakieś nowe badania.

— Ach, to byłoby cudownie - szepnęła Laura. — Ale patrząc realnie, boję się, że starania doktora nie przyniosą rezultatu.

— Jak ci się udaje zachować taki spokój?! — krzyknął Elliott. Padł na kolana i chwycił żonę za rękę; pachniała popcornem i cedrową wodą toale-

tową. - Ja tego nie przetrzymam, Lauro! Kocham cię i potrzebuję cię. Poza tobą nikt dla mnie nigdy nie istniał.

— Teraz zostaniesz sam — Laura z troską dotknęła jego policzka.

— To, że będę sam, nie ma znaczenia. Straszna jest świadomość, że nie będzie cię, Lauro. Ty jesteś najlepszą najbardziej wartościową częścią mojego „ja”. Nie jestem w stanie zrozumieć, co się dzieje. Myślałem, że się razem zestarzejemy. Przecież nie paliliśmy papierosów, nie używaliśmy narkotyków; jedliśmy kalafiory i pili czerwone wino... Przecież cię, Lauro, rozpira energia. Nigdy nie ustajesz... Jak to się mogło zdarzyć? Jak to znosisz? Nie boisz się? Wybacz, nie powinienem cię o to pytać. To niemądre. Chciałbym cię wziąć w ramiona i ruszyć przed siebie, aby uciec od tego wszystkiego. Nie pojmuję, w jaki sposób udaje ci się zachowywać tak zwyczajnie! Ja nie potrafię się pogodzić z tym, co nas czeka. Czy to prawda, że

cię tracę? Nie jestem w stanie myśleć O tym, co się kryje za tą czarną ścianą! Gdybym był na twoim miejscu, zachowywałbym się jak jakiś pomyleniec, a nie siedział tu uśmiechnięty jak ty.

— Dlaczego? Nie rozumiem, czemu miałabym się zachowywać inaczej — odrzekła Laura, a jej pełne wargi wyduły się, nadając twarzy wyraz żalu i współczucia. — Miałam jeden moment, kiedy ogarnął mnie straszliwy, przejmujący lęk. Chciałam krzyczeć, bić i drapać. A potem pomyślałam, że przecież dla mnie będzie ta chwila łatwiejsza niż dla was... Wiedziałam, co mi doktor Campanile powie, Elliotcie. Dlatego tam, na placu „Wielkich Wykopów” tak bardzo nalegałam na szybki przyjazd do szpitala. Wszystko już sobie przemyślałam. Dobrą stroną tego, co się stanie, jest świadomość, że nie będę wiedziała, kiedy ten moment nastąpi. Patrzyłam w niebo, z którego chwilami sypie śnieg, i zastanawiałam się, jak moja mama tu dojedzie, przecież ona przy byle mżawce ogranicza szyb-

kość do dziesięciu kilometrów na godzinę. Spoglądałam na śnieg i nie mogłam uwolnić się od myśli, że widzę go po raz ostatni. Cieszę się, że to, co ma mnie spotkać, zdarzy się teraz, a nie latem, kiedy dziewczynki obchodzą swoje urodziny, bo wtedy poczułyby się bardziej nieszczęśliwe, choć Boże Narodzenie też będzie stanowiło problem.

„Problem? - myślał Elliott. - Jaki problem?”

- Ell! - obudziła go Laura, gdy zasnął z głową na jej kołdrze. - W porządku. Wiem, że jesteś zmęczony. Sama chętnie bym usnęła, gdybym się odważyła... cokolwiek stracić z tego, co się tu dzieje. Jestem taka zmęczona. Ale głowa mnie już nie boli. To jest wspaniałe uczucie, EU: ból po prostu zniknął. Jestem wolna. A teraz cię proszę, żebyś coś dla mnie zrobił.

- Chodzi ci o wypełnienie formularzy dawcy?

- Ach, nie! Sama to zrobiłam, gdy ty rozmawiałeś z lekarzem.

- Sama? W ogóle się mnie nie radząc?

— A co? Może miałbyś ochotę na moją wątrobę? — uśmiechnęła się figlarnie i zwichrzyła swoją krótką blond grzywkę.

— Nie! Po prostu myślałem, że razem to przedyskutujemy.

— Nie ma żadnego powodu, Ell, żeby cokolwiek, co jest we mnie, miało się zmarnować. Oni nawet potrafią spożytkować kobiece jajniki...

— Lauro, nie mogę o tym myśleć!

— To lepiej nie myśl. Nie o to chcę cię prosić. Proszę, żebyś poszedł do CVS\*.

— Zastanów się, Lauro...! — krzyknął Elliott. — Jesteś w jednym z najlepszych szpitali i nie rozumiem, czego mogłabyś szukać w drogerii CVS.

— Potrzebne mi są dla naszych dziewczynek trzy karty zawiadomień o ślubie, trzy karty powinszowaniami z powodu zdania matury, trzy czyste karty i jedna gratulacyjna z powodu zakończenia stu-

\* CVS - sieć drogerii, w których sprzedaje się także m.in. wyroby papiernicze.

diów dla mojej siostry Angie. Kup mi też długopis z ładnym kolorem tuszu; może być bordowy. I samoprzylepne kartki. Zapamiętasz to wszystko?

— Tak. A co będzie, jeśli nasze córki nie wyjdą za mąż?

— Nie mów tak, Ell! Przecież większość kobiet wychodzi...

— A jeśli dziewczyny uznają ten pomysł za jakieś dziwactwo?

— Na pewno tak nie pomyślą. W pierwszej chwili mogą być zszokowane, ale potem będzie im miło. Możesz się też postarać o magnetofon i jakieś taśmy. Chociaż nie, bo głos matki zza grobu brzmiałby chyba groteskowo. — Uśmiech Laury stał się łzawy. — Tak naprawdę to wcale tego nie planuję. Skłamałam, bo dobrze wiem, że zepsułabym nagranie i nie przekazałabym tego, co mam im do powiedzenia. Albo bym kłęta i to złamałoby im serce. Możesz mi podać moją kosmetyczkę i przybory do makijażu?

— A co masz dla mnie?

— Dla ciebie zostawiłam list. Nie pamiętasz? Mówiłam, że musisz go poszukać w domu w mojej nocnej szafce.

— To może mi teraz powiesz, co ze mną będzie potem, w przyszłości?

— No tak... Przykro mi, że cię to spotkało, mój kochany, mój najdroższy, ale ty sobie z tym poradzisz, Elliotcie. Jesteś praktycznie myślącym człowiekiem. Świadomie wybierasz to, co dla ciebie dobre. Wszystko masz przemyślane. Wszystko. Ale teraz, zanim... cokolwiek się stanie, wynotujemy sobie co ważniejsze sprawy. Potem zadzwonię do mamy, żeby przyprowadziła dziewczynki. Na razie wołałabym, żeby ich nie budziła.

— Czy na pewno chcesz, żebym cię zostawił i poszedł po zakupy?

— Przecież to blisko, na następnej przecznicy, a drogeria jest czynna dwadzieścia cztery godziny.

— Ale muszę cię zostawić...



— Powiedziano mi, że minie jeszcze kilka godzin, a co najmniej godzina, zanim przyjdzie atak. A potem będę się jeszcze całkiem dobrze czuła do następnego... Tak mnie poinformował lekarz.

— Wolałbym cię jednak nie zostawiać — upierał się Elliott i przytuliwszy głowę do łona żony, wdychał zapach jej skóry. Jednocześnie czuł, że ta cząstka jego samego, która się mieści pod sercem, przestaje funkcjonować. To chyba mają ludzie na myśli, kiedy mówią: „jakaś cząstka mnie umarła”, a rozumieją przez to, że jakiś organ przeszedł w stan spoczynku, nie będzie więcej używany, zniszczyła go niewiara.

— Widzisz, Ell, nie mamy już wiele czasu. Proszę cię, podaj mi przybory do makijażu. Są w torebce. Chcę się umyć i przygotować.

— Możesz wyjść z łóżka?

— Mogę robić, co tylko zechcę — odparła. — Przecież umieram.

\*

Dokładnie umyła twarz, a nawet użyła szorstkiej kostki mydła, które znalazła w szpitalnej łazience, przypominającej niewielką stalową kabinę. Od lat unikała mycia twarzy mydłem. Szczyciła się, że nie ma kurzych łapek i że jej skóra jest równie delikatna jak cera Rory. Ale teraz to już nie miało znaczenia. Postanowiła też wziąć prysznic i umyć włosy. Zadzwoniła po pielęgniarkę. Ta zrobiła wielkie oczy i choć nieco zszokowana, pomogła Laurze uporać się ze stojakiem od kroplówki, z plastikowej poduszeczki wycisnąć szampon (zaproponowała także płukankę wzmacniającą włosy, lecz spotkała się z odmową) i włożyć kwiecisty szlafrok, zapinany z tyłu. Gdy Laura wysuszyła włosy, pielęgniarka przyniosła jej lizeskę haftowaną w deseń wyobrażający świerki i bałwany śniegowe.

- Ta pani, do której lizeska należała, umarła, prawda? - grzecznie spytała Laura. - Nie, żeby mi to w czymkolwiek przeszkadzało... — dodała.

— Nie, proszę pani - usłyszała. - Lizeskę do-

stała od nas jedna z naszych pielęgniarek: właśnie mi powiedziała, że chce ją pani ofiarować. Koleżanka przeszła niedawno operację haluksów i będzie musiała spędzić miesiąc w łóżku. Wszystkie się złożyłyśmy na ten prezent dla niej, ale ona woli przeznaczyć go dla pani.

- Właściwie nie powinnam takiego daru przyjąć, ale jestem wdzięczna koleżance i proszę, by jej pani serdecznie podziękowała — mówiła wzruszona Laura. - To naprawdę piękne; moje córki z pewnością się ucieszą, bo lubią widzieć mnie ładnie ubraną.

- Nie chciałybyśmy... tak nam przykro... — dudkała pielęgniarka. Nie wyglądała na więcej niż dwadzieścia pięć lat; tyle ma siostra Elliotta, Sarah.

- Wiem, że bardzo to przeżywacie... i w dodatku na samo Boże Narodzenie. Żal mi was.

- Będziemy się starały we wszystkim pani pomagać, pani...

- Mam na imię Laura.

— Powiedz, Lauro, czy nie potrzebujesz czegoś.

— Właściwie mam wielką ochotę na filiżankę kawy, ale jeszcze pomyślę. — Poprosiła o kawę bardziej po to, by dać pielęgniarce okazję przysłużenia jej się, niż z prawdziwej chęci. „Kawa... - myślała. — Jeśli istnieje życie po śmierci, to będzie mi w nim brakowało kawy. I włoskiej lemoniady. I mego podpisu: Laura MacDermott Banner — który tak wiele razy ćwiczyłam w notatniku zachowanym jeszcze z czasów college'u. I prasowania". Laura lubiła być po prostu, zwyczajnie pożyteczna. Sprawiało jej satysfakcję, że z czegoś nieestetycznie zmiętego może uczynić rzecz świeżą i efektowną. „Będzie mi też brakowało pływania w chłodnych wodach Atlantyku... i szparagów. A także widoku włosów Rory, kiedy wychodzi spocona po treningu i głowę ma całą w kasztanowych sterczących kosmykach, niczym punk".

Rory to twarda dziewczyna. Choć ma tylko osiem lat, wydaje się niemal dojrzała. A jest dość

młoda, by się pogodzić z ciosem, jaki ją spotka, i nie żywić z tego powodu żalu do całego świata.

Co innego Annie. Ta będzie w sobie dławiła złość bardzo długo. W wieku trzynastu lat ma pełne prawo uzewnętrznić swój gniew bez względu na to, jak boleśnie ją dotknie rozwój wypadków. Annie z pewnością będzie potrzebowała pomocy. I na pewno da się Elliottowi we znaki, zwłaszcza jeśli się kiedyś powtórnie ożeni.

A mała Amelia? Urodziła się w trudnym dla Elliotta okresie, gdy już zdawał sobie sprawę, że wkrótce może zabraknąć jego matki, Amy, kobiety, która Laurze była droższa niż własna matka. Amy to babcia z prawdziwego zdarzenia; przyjeżdżała do nich i zostawała na weekendy; namawiała młodych i wręcz wypychała ich, by — korzystając z jej obecności — wychodzili na kolację i do kina; sama czyściła żaluzje i pozwalała Laurze na popołudniową drzemkę, zajmując się najmłodszym dzieckiem, malutką Amelią. Laura przewidywała, że

Amelii będzie się wiodło najlepiej ze wszystkich dzieci. Zwłaszcza wtedy, gdy Ell znów się ożeni.

Własnego ojca Laura nie pamiętała.

Spojrzała na telefon. Doktor, nie dość, że taki przystojny i kochany, był jeszcze dobry jak anioł: powiedział jej, że może dzwonić do kogo i gdzie chce, i to na rachunek szpitala. Postanowiła więc, że zaraz zadzwoni do swoich siostr, zanim wróci Elliott. Oczami wyobraźni widziała go, jak stoi i głowi się nad wyborem odpowiednich kart, szuka stoiska z rzeczami, które kazała mu kupić, zmęczony, niepewnym ruchem przeczesując palcami swoje ciemne włosy.

Laura zastanawiała się także, czy ma zadzwonić do chłopca, któremu kiedyś powierzyła oprawę fotografii córek. Zachowała ich zdjęcia z zabaw i imprez sportowych i przekazała temu młodemu człowiekowi, który zajął się nimi troskliwie: zastosował nowatorskie obwódki z matowej pozłotki i pomysłowe drewniane ramki. Któregoś dnia po-

prosił Laurę, żeby odwiedziła go w pracowni na poddaszu, mieszczącej się w najbardziej ponurym zakątku Lynn, niedaleko hurtowni Elliiego. Laura tam poszła i pozwoliła, by zrobił odręczny szkic węglem, jak leży naga na jego czerwonym futonie. Nie oponowała, gdy przedtem ją rozebrał i pieścił, doprowadzając do bolesnego szczytowania, nie zgodziła się jednak, aby wszedł w nią tłumacząc, że przecież nie pomyśleli o zabezpieczeniu się. Chłopiec wyznał, że ją kocha, i zachwycał się jej skórą którą nazywał po staroświecku porcelanową jakby nigdy nie miała kontaktu ze słońcem... Laura zaś dziękowała mu za delikatność, całowała po rękach i muskała wargami jego pierś z małą pojedynczą kępką złotych włosów. Wspominając tamto popołudnie, myślała o nim jak o pięknym prezencie dla kobiety, która właśnie rozpoczęła czterdziesty rok życia i była świeżo po całkowitej sterylizacji podobnej do tej, jakiej pewnego pogodnego popołudnia poddano ich sunie,

Atheneę. Samoprzylepny opatrunek na brzuchu Laury był jedynym dowodem na to, że się nie spełni jej dawne pragnienie posiadania jeszcze trojga dzieci, na które zresztą nie byłoby ich stać. W kilka dni po odwiedzinach u chłopca Laura poszła do spowiedzi. Po głosie poznała, że jest to najmłodszy z trzech księży spowiadających w kościele. Wyznała mu, że opanowała ją bezmierna i nieprzemijająca żądza. Zapamiętała łagodne słowa księdza, który nie wyraził najmniejszego nawet zdziwienia. Powiedział, że jako ludzie są podatni na grzech. Nie zadał Laurze żadnej pokuty, polecił jedynie, by się zastanowiła nad przysięgą złożoną przed ołtarzem.

Wciąż zadawała sobie pytanie, czy powinna do tego młodego człowieka zadzwonić. Z uwielbieniem wspominała jego gorący, muskularny brzuch, zuchwałą męskość, którą przejawiał w każdym calu, i szaloną, umiejętnie okazywaną namiętność. Myślała o nim z nieustającym zachwytem



przez wiele nocy, gdy męczyły ją niespokojne sny. Ale czy teraz zadzwonić do niego? Nie! Kiedyś sam się dowie. Może Elliott zanieśe do jego zakładu fotografie, aby zrobił z nich kolaż dla dziewczynek czy coś w tym rodzaju. Chłopiec na pewno rozpozna Laurę na zdjęciach i spyta, co u niej... Uśmiechnęła się trochę speszona na myśl, że chłopca ogarnie żal.

W grę wchodziło jednak jeszcze coś innego: Laura nie potrafiła się zmusić do spalenia węglem rysowanego szkicu i bała się, że Elliott go znajdzie.

A może nie będzie tak źle — pocieszała się, czesząc włosy — i Elliott jeszcze długo nie natrafi na obrazek. Poza tym on nie jest podpisany. Zastanawiała się, czy Elliotta uradowałaby, czy zasmuciła wiadomość, że jego żona wciąż stanowiła obiekt pożądania. Choć byłoby to już tylko wspomnienie... Czy mąż zwątpi w jej miłość do niego? Przecież darzyła go uczuciem pewnym i niepodważalnym. Elliott powinien zrozumieć, że szkic

dowodzi jedynie jej chwilowej słabości, nic więcej. Trudno — zdecydowała w końcu — i tak nie jest w stanie już nic przedsięwziąć i nigdy się nie dowie, jaka była reakcja męża... chyba że udałoby się jej przetrwać w postaci ducha. Dobrze byłoby zostać duchem... Chciałaby tego...

W dzieciństwie w niedzielnej szkółce czy w domu, gdy czekali na kolację, nieraz się zabawiali grą: „co będzie, jak...?” i snuli fantazje o zdobyciu nadzwyczajnych mocy. Laura nie marzyła o workach złota ani nie pragnęła żyć wiecznie, bardzo jednak chciała stać się niewidzialna. Mieć taką nadprzyrodzoną siłę, by móc niepostrzeżenie wchodzić do różnych tajemnych miejsc, słyszeć, o czym rozmawiają dorośli, lub choćby dostać się do nauczycielskiego biurka przed egzaminem z matematyki.

Zastanawiała się teraz, w jaki sposób korzystałaby ze swojej niewidzialności, gdyby taki stan miał trwać zawsze. Na pewno by podsłuchiwała, kiedy i ile by mogła. Płatałaby też figle Elliotto-

wi. Gdyby siedział na sedesie, czytając „Motor Trends”, wytrąciłaby mu z dłoni czasopismo, tak by znalazło się poza zasięgiem jego ręki, i musiałby wstać ze spodniami opuszczonymi do kostek. Budziłaby go delikatnym szeptem i dmuchała w policzek, by poczuł jej zapach. Może też chciałaby zobaczyć męża, gdy się znów zakocha.

Przeczytała gdzieś, że słynny magik, Harry Houdini, rodem z Wisconsin, obiecał swojej żonie, że po śmierci da jej znak, by udowodnić, iż istnieje życie po życiu. „Ja też bym tak zrobiła — pomyślała Laura. - Przesłałabym Elliottowi wiadomość i powiedziałabym, że dobrze mi się wiedzie i wciąż go kocham, ale nie mam nic przeciw temu, aby znów kogoś obdarzył uczuciem. Gdyby jednak próbował zatańczyć na swoim weselu, sprawiłabym, żeby się potknął”. Na samą myśl o tym Laura zachichotała, choć znała męża na tyle dobrze, by wiedzieć, że mogłoby mu się to przydarzyć także bez jej pomocy. Wystarczyło, że wy-

obraziła sobie wesele, i od razu oczami duszy zobaczyła na nim swoje córki. Były już nieco starsze, nosiły sukienki na ramiączkach. Pewnie udało się dziewczynom naciągnąć ojca na ten zakup. Ta wyimaginowana scena nie wzbudziła jednak w Laurze zazdrości, lecz wprawiła ją w rzewny nastrój, jakby prawdą było to, co powiedział święty Julian z Norwich, że ostatecznie wszystko się dobrze ułoży. A jeśli się okaże, że wszelkie ich sprawy znalazły pomyślne rozwiązanie, czy wówczas powinna się obrócić na pięcie i zniknąć jak dymek zgaszonej świecy, uznając, że jej ziemskie zadanie zostało już wykonane? A może powinna dalej trzymać się w pobliżu albo nawiedzać rodzinę tylko raz na jakiś czas?

„No, tak - myślała Laura. - Powszechnie się uważa, że duchy wracają na ziemię, ponieważ sądzą, że ich życiowe zadania nie zostały doprowadzone do końca. Na pewno jednak nie dotyczy to wszystkich duchów: niektóre mogą wracać z czy-

stej ciekawości". Ona na przykład chciałaby zobaczyć, jak jej córeczki dorastają. Gdyby zatrzymały się przy stoisku z bielizną i zastanawiały nad kupnem, miałyby ochotę im wskazać, gdzie mają szukać odpowiednich rozmiarów. Na balu matu-ralnym Annie chciałaby przemieszczać się nad tańczącymi i być świadkiem jej pierwszych uniesień. Gdy Rory osiągnie pierwszy sukces w zawodach sportowych, Laura pragnęłaby móc wivatować, oczywiście w sposób niewidzialny, ale możliwy do rozpoznania. A kiedy Amelia pójdzie po raz pierwszy do szkoły, Laura duch odważyłaby się jej dotknąć; mała by to odczuła jako muśnięcie słońca lub tchnienie wiatru na rękę.

Kiedyś przeczytała - nie pamięta gdzie - że duchy, czyli niematerialne byty osobowe, często objawiają się w postaci słupa lodowatego powietrza albo wonnych wiaterek. Laura nie chciałaby występować jako biegun zimna, wolałaby być ciepłym, może nawet psotnym wicherkiem...

Próbowała sobie wyobrazić swoją najmłodszą, najbardziej trzymającą się matczynego fartucha córeczkę. To jej maleństwo wszystkiego się bało, poczynając od maski imitującej trupią czaszkę, a kończąc na wężach pokazywanych w telewizji. Laura oczami duszy widziała małą Amelię, jak stoi z szeroko otwartymi oczami, dumna, że założyła swój pierwszy w życiu szkolny tornister. Prawdziwy tornister, po latach, kiedy siedząc z Laurą przy stole kuchennym — pozorowały odrabianie zadań domowych. Z poważną miną stawiały kreski i zawijasy, udając, że są to litery i cyfry, chociaż zlewały się w coś, co w żaden sposób nie dawało się odczytać. Gdyby Laura zjawiała się tam jako łagodny powiew, który tylko jej dziecko by wyczuło, mogłyby mu dodać odwagi; zupełnie jakby położyła dłoń na plecach Amelii i lekko nią sterowała. Potem wyobraziła sobie Amelię nieco starszą; właśnie wypadł dziewczynce przedni mleczny ząb...

Skoro Laura posunęła się aż tak daleko, trudno

jej było teraz nałożyć na oczy swojej duszy końskie okulary. Widziała więc śluby... Annie, cienka jak patyczek, surowo ubrana w obcisłą suknię bez żadnej falbanki. Rory... nieopuszczająca ani jednego tańca. Narodziny dzieci dziewczynek... W tym momencie Laura w stanowczy sposób przywołała siebie do porządku, uznając, że pora położyć kres fantazjowaniu. Przycisnęła obie dłonie do lustra i odepchnęła je. Nie mogła dłużej tolerować tego szybkiego przenoszenia się w czasie; bała się, że wkrótce dotrze do dnia, kiedy dzieci nie będą jej już pamiętały. Może tylko czasem jakaś myśl wywoła u nich łzę, może się wzruszą gdy ktoś zagra ulubioną melodię mamy. Nałożyła na twarz nowy podkład, a pod oczy takie cienie, które od płaczu nie zamieniają się w plamy.

Podeszła do telefonu i zadzwoniła do matki, prosząc, żeby obudziła dziewczynki. Miranda wcześniej to zrobiła i powiedziała, że szykują się do wyjścia z domu.

Z kolei Laura zatelefonowała do swojej najmłodszej siostry, Angeli. Należała ona do osób, które trudno dobudzić, co nieraz przysparzało jej kłopotów, zwłaszcza teraz, gdy była studentką medycyny. Musiała wypić sporo kawy i mieć dużo czasu, aby doprowadzić się do stanu pełnej świadomości. Wcale więc Laura się nie zdziwiła, że siostra jej nie rozpoznała.

- Doktor MacDermott - powiedziała. — Doktor MacDermott przy telefonie.

- Mówi Laura. Angie, czy ty mnie słyszysz?

- Tu doktor MacDermott...

- Czy mogę prosić do telefonu Cobba, Angie? — Laura usłyszała stłumiony dźwięk odkładanej słuchawki i po chwili głos Cobba, który ją podniósł. Cobb był stażystą na chirurgii. Zaniepokoił się, że coś się stało Mirandzie lub którejś z dziewczynek.

- Nie — odpowiedziała Laura. — Chodzi o mnie. Jestem w szpitalu i musisz jakoś wytłumaczyć



Angie, że... prawdę mówiąc... umieram. — Przez chwilę Laura poczuła się zawstydzona. Słowa te zabrzmiały tak bezceremonialnie, tak melodramatycznie...

— Lauro, co ty mówisz? Przecież to nie ma sensu...

— Wiem, ale to prawda.

— Lauro!

Cobb stanowił rzadko spotykany typ człowieka. Jako lekarz — choć to może wydawać się mało prawdopodobne — był niemal zupełnie pozbawiony arogancji. Z tego właśnie względu Angela nie mogła mu się oprzeć, choć wcześniej przysięgała, że dopóki nie ukończy studiów, nie zaangażuje się w żaden romans. Cobb kochał jej rodzinę, jakby był jednym z jej członków.

— Nie mam wiele czasu — powiedziała mu Laura — więc uważnie mnie posłuchaj!

— Słucham — odparł poważnie i Laura wiedziała, że może mu ufać.

— Nie wiem, czy to, co mnie spotkało - Elliott wytłumaczy ci to dokładnie — jest dziedziczne, ale mój ojciec też umarł młodo i przyczyną śmierci był udar mózgu... Proszę cię, dopilnuj, żeby Angela regularnie kontrolowała ciśnienie i poddała się badaniu głowy... - Laura zdała sobie sprawę, jak niefachowo się wyraziła, i z trudem powstrzymała się od śmiechu. - Chciałam powiedzieć, że Angeli powinno się zrobić USG mózgu na obecność tętniaka... - poprawiła się.

— Obiecuję ci to, Lauro — zapewnił Cobb. — Czy mogę dać ci teraz Angelę?

— Laura? — Głos Angeli jeszcze był rozespany. — Co się stało?

— Angelo! Chcę ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumna — oświadczyła Laura. — I chyba wiesz, że z rodzeństwa ciebie najbardziej kocham. — Do Laury dochodziło mruczenie Cobba, który przekazywał coś jej siostrze.

— Co? Dlaczego? — załkała Angela, a potem za-

częła jęczeć - Gdzie ty jesteś? W szpitalu „Mercy”? Mogę porozmawiać z twoim lekarzem?

— Mój lekarz wyszedł; próbuje szukać dla mnie ratunku. Wysłała e-maile do lekarzy na całym świecie — relacjonowała Laura. — Jeśli istnieje jakiś sposób, aby mi pomóc, wiem, że on go znajdzie. To bardzo dobry człowiek i lekarz. Boję się jednak, że nie zdążysz i zanim się tu zjawisz, już będzie po wszystkim.

— Muszę cię zobaczyć! Przylecimy samolotem.

— Ale śnieg wciąż pada i pewnie lotnisko będzie nieczynne.

— Dostanę się do ciebie.

— Chciałabym, żebyś przyjechała na Boże Narodzenie, jeśli tylko można będzie bezpiecznie podróżować, i na święta została z dziewczynkami i Elliottem. Chcę ci jeszcze raz powiedzieć, że ciebie kocham najbardziej. Byłam ci niemal matką, a ty dla mnie laleczką do strojenia... Wiem, że to brzmi sentymentalnie, Angie, ale wierz mi,

że właśnie o takich rzeczach myśli się w krytycznych momentach. Całe życie staje wtedy przed tobą, jakbyś w jednej chwili odtwarzała swoją przeszłość.

- Przestań, Laurie! Przecież to Stephen był twoim ulubieńcem. — Laura usłyszała, jak Angela, przykrywszy dłonią słuchawkę, krzyknęła do Cobba: - Połącz się z lotniskiem i zamów dla nas lot! I zrób to natychmiast! - A wracając do rozmowy z Laurą spytała: — Czy jest u ciebie Stephen?

— Nie, jeszcze go nie ma. Proszę, żebyś zapamiętała to, co ci powiem: Stephen był naszym dużym, starszym bratem. A także naszym dręczycielem, zgrywusem i kpiarzem i po tobie on był mi najbliższy... — „Już używam czasu przeszłego” — pomyślała. - To był facet, dlatego my, dziewczyny, musiałyśmy się o niego troszczyć, a on z kolei troszczył się o nas. Był jakby naszym tatusiem. Suzie myślała tylko o tym, żeby dorosnąć i opuścić dom. Tak naprawdę liczyłyśmy się tylko my dwie...

- Jest z tobą Elliott? — upewniała się Angela.
- Nie, posłałam go do drogerii — wyjaśniła Laura. — Chciałam, żeby mi kupił parę rzeczy.
- W drogerii? — zdziwiła się siostra.
- Tak, nie mam czasu, żeby ci to tłumaczyć, ale zanim odłożę słuchawkę, jeszcze raz ci przypomnę, że Suzanne była ulubienicą mamy, a ty moją. O niektórych zdarzeniach nigdy nie zapomnisz. Na przykład o tym, jak ciebie na Halloween pomalowałam w stylu Picassa: jedną stronę na niebiesko, a drugą na żółto. A pamiętasz, jak ci czytałam bajkę o „małym domku w wielkim lesie”? Tak się nią przejęłaś, że chciałaś przenieść się do Wisconsin i zamieszkać w chacie z bali. Pożyliśmy nawet w bibliotece plany...
- ...i ukradłyśmy budulec. Stephen zachowywał się niemal jak zawodowy złodziej... - Angela, już rozbudzona, dosadnie określiła czyn brata.
- Zbudował ci też domek na drzewie... Miał talent, mógł zostać budowniczym albo architektem.

— Gdyby się nie rozmienił na drobne...

— Nie mów tak, Angie — zganiła ją Laura. — Stephen jest... przeżywa trudny okres.

— Ależ Laurie! — prychnęła gniewnie — nasz brat ma już czterdzieści dwa lata. — I to był argument nie do zbiccia. Powiedzenie „wieczny tułacz” wydaje się jakby specjalnie ukute dla takiego człowieka jak Stephen, który nigdzie długo nie zagrażał miejsca. Czasem pracował jako robotnik, przez jakiś czas był technicznym pomocnikiem zespołów muzycznych, takim, który przenosi i pakuje sprzęt na trasie koncertowej, a bywało, że pobierał zasiłek dla sezonowych bezrobotnych.

— Przypomnij sobie: Stephen zbudował ci na drzewie domek tak, żebyś mogła wspiąć się do niego po Unie i potem wciągnąć ją na górę, by nikt się do ciebie nie dostał. No i ty naprawdę to zrobiłaś. Straszyliszy ciebie, że jeśli nie spuścisz liny, zaraz zawiadomimy straż pożarną. Ale nic sobie z tego nie robiłaś. I rzeczywiście musieliśmy we-

zwać straż. Byłaś taka porywcza, Angie... Ile miałaś wtedy lat? Pięć?

— Jak możesz teraz o tym myśleć?

— Wiem, że to boli. Mnie to wspomnianie też sprawia ból, ale w tej sytuacji tak właśnie muszę postępować.

— Nie rozumiem dlaczego, wiedząc, że mnie opuścisz, rozmawiasz ze mną, jakby nic się nie działo.

— Nie mam wyboru, już ci to powiedziałam. A zaczęło się od tego, że aby uczcić naszą rocznicę ślubu, wybraliśmy się z Elliottem na przedstawienie cyrkowe do „Cirque du Soleil”. Widowisko było naprawdę cudowne. A potem nagle chwycił mnie ten przejmujący, niewiarygodnie ostry ból głowy...

— Chyba nie odważysz się mnie opuścić, dopóki do ciebie nie dotrę!

— Będę się bardzo starała — zapewniła siostrę, łagodniejąc. Zastanawiała się, czy jest możliwe, by mózg nie posłuchał samego siebie.

- Kocham cię, Laurie — zapewniła Angela. — Bardzo cię kocham. Kiedy ukończę studia, poświęcę się badaniu takich przypadków jak twój i znajdę sposób na ich leczenie.

- Nie, lepiej zajmij się chorobami dziecięcymi. Tak jak chciałaś.

- Laurie!

- Posłuchaj, kochanie! Muszę jeszcze zadzwonić do Suzie i Stephena, który pewnie zechce do mnie przyjechać, więc kończę.

W odpowiedzi usłyszała głos Cobba.

- Wybacz, ale Angie chyba dostała torsji... Zraz się nią zajmę. Już załatwiłem samolot. Będziemy u ciebie koło południa. Nie powinno być kłopotów z lądowaniem. Bardzo bym chciał, żebyś mogła być na naszym ślubie, Lauro... Przepraszam, ale musiałem ci to powiedzieć...

- Wiesz, że są tacy, którzy uważają, że mogłabym się tam zjawić. Co ty na to?

- Zrobimy sobie zdjęcie...



— Ach, Cobb, nie!!! To by było makabryczne! - zawołała. Do pokoju wszedł Elliott, cały mokry z rozwichrzonym włosiem. W rękach trzymał plastikowe torby pełne zakupów. — Ślub planujecie na lato — mówiła dalej do Cobba — więc to jeszcze kawał czasu...

Mówiąc o lecie, pomyślała o ogrodzie teściowej; jak pięknie wyglądał, gdy żyła Amy. Zachwycał mnóstwem wonnych laków i stokrotkowych gerber. Liście funkii wyglądały jak wielkie parasole przerywane smukłymi, marzącymi liliami. Jeśli chodzi o pielęgnowanie własnego ogrodu, to Laura była beznadziejna. Z braku zamiłowania i z powodu zwyczajnego lenistwa miała w nim jedynie hortensje i polne róże o łacińskiej nazwie *rugosa*, czyli „pomarszczone”. Ogród kojarzył jej się głównie z chwastami i robakami. Woląta czytać książki i wypiekać owsiane ciasteczka. Elliott nazwał Laurę czarnym kciukiem, kiedy zobaczył, że udało jej się — choć to z pozoru niemożliwe —

zmarnować nawet kaktusowy „ogródek” w doniczce.

— Ucałuj Angelę! — rzuciła Cobbowi na pożegnanie i odłożyła słuchawkę. Potem wstała z łóżka. Bo niby dlaczego miałyby leżeć? Czy ktoś jej to kazał? Doszła do wniosku, że ludzie sami w jakiś uległy sposób kładą się na twardych posłaniach, ze sztywnymi, wielokrotnie cerowanymi prześcieradłami, z chwilą gdy zostają pacjentami.

— Kupiłeś to, o co prosiłam? — spytała męża, wyciągając w jego stronę ręcznik, leżący w nogach łóżka. Chciała nim wysuszyć resztki deszczu ze śniegiem, który niby szadź białął na oklapniętych czarnych kędziorach Elliotta.

— Tak, mam wszystko — odparł. W tym momencie Laura upuściła ręcznik i zaczęła szukać po omacku jakiegoś wyimaginowanego krzesła, poruszając ramionami, jakby wiosłowała. Oczy jej się zapadły w głąb i widać było tylko wąską szparkę niebieskiej tęczy. Palcami wczepiała się w ręce,

usiłując chwycić się za własne przeguby. Elliott wypuścił torby z zakupami i krzyknął, wzywając pielęgniarkę. Przybiegły aż trzy i patrzyły jak nogi Laury na skutek skurczu napięły się, osiągając niemal taneczną pozycję *pointe*.

— Niech się pan nie martwi, proszę pana — jedna z młodszych pielęgniarek pocieszała Elliotta. — Żona nie ugryzie się w język. Ona nic nie czuje. — Szczęki Laury wykonywały ruchy nożycowe, a zęby wydawały się zgrzytać głośniej niż maszyna do mieszania cementu. — Atak się za chwilę skończy — oznajmiła pielęgniarka. — Pójdę po doktora Campanile.

Lekarz głaskał spocone czoło Laury i przyglądał jej czyste, a teraz rozwichrzone włosy.

— Ładnie pani pachnie — powiedział. - A jak się czujemy? Trochę dziwnie, co?

— Jestem bardzo zmęczona, jak po biegu.

— Chce się pani spać?

— Nie.

— To dobrze.

— Nie widział jej pan, doktorze, w czasie ataku - odezwał się Elliott. — Musiała bardzo cierpieć.

— Znam pacjentów, którzy regularnie miewają napady padaczkowe i twierdzą, że nie czują wtedy żadnego bólu — uspokajał doktor Campanile. — Odnoszą wrażenie, że znajdują się daleko od własnych ciał, ale wszystko słyszą. Myślę — dodał cicho — że trzeba już wezwać wasze córki. Pani Laura jest teraz w dobrej formie i taki stan może się jeszcze jakiś czas utrzymać.

— Nasze córki są już w drodze — poinformował Elliott. — Boję się, że gdyby się atak powtórzył, byłyby jego świadkami... Tym razem nastąpił bez ostrzeżenia...

— Mam nadzieję, że tak się nie stanie, ale za to nie ręczę. Będę niedaleko i zjawię się na każde wezwanie. Mój gabinet mieści się blisko dyżurki pielęgniarek: dzieli nas jedynie troje drzwi. Wciąż

jeszcze szukam w Internecie pomocy, proszę pana. Nawiązałem kontakt z neurochirurgiem w Australii, który ma pewne osiągnięcia, jeśli chodzi o utrzymanie pacjenta przy życiu. Niestety, funkcję mózgu, udało mu się przywrócić tylko w niewielkim stopniu.

— Zgodziłbym się na to — powiedział Elliott. — Będę się żoną opiekował.

— Ale ja się na to nie zgadzam, Ell — oznajmiła Laura. — Nie chcę takiego rozwiązania.

— Lauro! Przynajmniej pozwól, żeby pan doktor je sprawdził. Zrób to dla mnie!

Westchnęła. Gdy Elliott wyszedł, żeby się czegoś napić, Laura zwróciła się do lekarza, który poprawiał coś przy przewodzie doprowadzającym kroplówkę i nakazał pielęgniarce, żeby wstrzyknęła chorej lek „na uspokojenie”.

— Panie doktorze - spytała wprost - czy ja o czymś nie zapomniałam?

Lekarz milczał.

— Widziałem tyle śmierci — odezwał się po chwili - tyle sal w tym szpitalu, wypełnionych cierpieniem ludzi, którym nie było dane dożyć swoich dni, odchodzili przedwcześnie. Patrzyłem na umierające dzieci. To mnie nauczyło, że najtrudniej jest umierać tym, którzy nie kochali życia.

— Ale ja kocham życie! — oznajmiła Laura. — Kocham je, chociaż było skromne.

— Lecz pełne. Nie powiem, że spełnione, jednak dobrze przeżyte. Więc dla pani, sądzę, rozstanie się z nim nie będzie takie trudne. Nie poczuje pani zawodu, że nadzieje się nie ziściły. Wierzę, że i ja będę równie silny — zakończył.

— Nie mamy wyboru, prawda? Gdy traci się wszystko, wtedy nie myśli się o sobie. I nie jest to dzielność, tylko coś innego.

— Ja również odnoszę takie wrażenie — przyznał doktor Campanile — że chodzi tu o coś innego. Możliwe, że o emocje, o naszą skłonność do wzruszeń; może też po prostu natura przynosi nam po-

cieszenie i przyjaźnie wspiera... A teraz, pani Laurro, proszę odpoczywać i oszczędzać siły.

Gdy wyszedł, Laura raz jeszcze wyszczotkowała włosy, a potem zadzwoniła do swojej starszej siostry, Suzanne. Ta na tragiczną wiadomość zareagowała krótkim, ostrym krzykiem, po czym usilnie nalegała, by zasięgnąć opinii jeszcze innego lekarza. Zaproponowała, że poprosi o pomoc męża swojej najlepszej przyjaciółki. Jako profesor Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles powinien wiedzieć, co w tej sytuacji robić. Zwróci się też do Kliniki Mayo albo zawezwie „Medevac” — medyczne pogotowie lotnicze. Laura próbowała protestować, ale Suzanne była nieugięta. Powiedziała, że za chwilę zadzwoni do centrali szpitala i zażąda bezpośredniego połączenia z neurologiem. Suzanne zajmowała kierownicze stanowisko w wielkim towarzystwie kredytowym i przywykła do rządzenia. Laura zbyła pomysły siostry milczeniem. Po chwili, nie bacząc na sprzeciw Laury,

Suzanne zawołała do telefonu swego dziesięcioletniego syna, Aarona. Chłopiec pochwalił się Laurze, że zgodnie z tym, co planował, wkleił do albumu fotografie paryskich kościołów, jakie mu przysłała. Zachęcony przez Suzie, zaśpiewał jeszcze początkowe słowa francuskiej kolędy, której się niedawno nauczył. To bardziej niż cokolwiek innego omal nie wykończyło Laury.

Wreszcie Suzanne odebrała Aaronowi słuchawkę.

— No, dobrze — powiedziała szorstko, po krótkiej przerwie, w czasie której, jak się Laura domyśliła, zapaliła papierosa. (Suzanne była przekonana, że żadna z sióstr nie wie o jej nałogu). — Ty, Lauro — oświadczyła — jesteś z nas najlepsza, najpiękniejsza, najbardziej opanowana i życzliwa.

- Nie, to ty, Suzie, byłaś atrakcyjniejsza. Mężczyźni się bili, żeby się z tobą umówić na randkę. Ja zaś miałam tylko Elliotta, choć nie... w liceum chodziłam z chłopcem o imieniu Greg — wspo-



minała Laura. Czterdziestosześcioletnia Suzie, od dziewięciu lat rozwódka, wciąż świetnie wyglądała. Wysoka i wąska jak kieliszek do szampana, nogi miała smukłe, a kostki drobne jak pęciny konia wyścigowego. — I czego dokonałam w życiu? — pytała Laura. - Napisałam parę krytycznych artykułów o targach w naszym hrabstwie, kilka reportaży z rajdów motocyklowych. Przygotowywałam kostiumy na Halloween...

— Przede wszystkim uczciwie żyłaś — stwierdziła Suzanne. - Oczywiście, ja się wam kojarzę z matką. Wiem, że uważacie, iż jak ona jestem zimna i nieprzystępna. Ale nie myśl tak, Lauro... - Choć ton głosu siostry nie wskazywał na to, Laura wiedziała, że Suzanne płacze. - Stephen się już teraz kompletnie zatraci — ubolewała, próbując sama ocenić charakter ich brata. Ten chroniczny stary kawaler był nie tylko bardzo samotny i czarująco bezradny, ale też mocno znerwicowany. Sam nie-raz mówił, że żałuje, iż nie jest gejem, bo wtedy

łatwiej by znalazł drugiego takiego neurotyka jak on sam. — A Angela?

- Ona ma Cobba. Więc jak? Przyjedziesz?

- Oczywiście. I tak miałam się do was dzisiaj wybrać. Mamy samolot za trzy godziny. Czy myślisz... że mogłybyśmy się już...

- Nie wiem, Suzie, ale wszystko możliwe. Posłuchaj mnie teraz uważnie, bo muszę cię poprosić o przysługę. Znasz moje biurko, prawda? Chodzi mi o to małe w sypialni, a nie o to w pokoju komputerowym.

- Masz na myśli biurko po babci MacDermott?

- Tak. Chciałabym tobie je przekazać, bo wiem, że ci się podoba. Babcia tylko dlatego je mnie zostawiła, że była pewna, iż zostanę uznaną pisarką.

- To prawda, bo przecież w dzieciństwie pisałaś wiersze i poematy...

- Właśnie... o niezwyłych psach i dziewicach rzucających się w dół wulkanu. Inna rzecz, że chętnie bym te wiersze znów przeczytała, ale chyba są one

u mamy. Teraz jednak chodzi mi o coś innego. W moim biurku, na lewo od wnęki na nogi, jest zamknięty schowek. Klucz do niego przymocowałam taśmą pod blatem. W skrytce mam papier listowy, który dostałam od ciebie.

— A co babcia tam trzymała?

— Tylko jedną i to niepodpisaną kartkę walentynkową nic więcej. Nie masz pojęcia, jaka byłam przejęta, gdy ją znalazłam: stara walentynka, ozdobiona prawdziwą koronką.

— A co ty tam jeszcze chowasz?

— Właśnie tę walentynkę i mały zrobiony węglem szkic, który przedstawia mnie nagą jest zrolowany. To dawna pamiątka. Czy mogłabyś zabrać ten szkic i... sama zdecyduj, co z nim zrobić. Może zechce go któraś z moich córek, gdy będzie w tym wieku, w jakim ja jestem teraz. Ewentualnie mogłaby go dostać ta, która objawiałaby plastyczny talent i chciałaby rysować lub coś w tym rodzaju. Na razie żadna nie wykazała takich zainteresowań.

— Zgoda. Zrobię, o co prosisz, a jeśli nie będę mogła inaczej, zniszczę ten szkic.

— Doskonale! - ucieszyła się Laura, bo ciężar spadł jej z serca. - Suzie! Nie myśl sobie, że miałam romans...

— To dla mnie bez znaczenia, ale ci wierzę, Laurie. Ze wszystkich ludzi jesteś ostatnia, którą bym podejrzewała o jakieś amory. — Laura nie wiedziała, czy powinna być jej wdzięczna za te słowa, czy poczuć się urażona. — Wkrótce udajemy się z Aaronem na lotnisko - ciągnęła Suzie. - Polecimy najwcześniejszym samolotem. W nagłych wypadkach wpuszczają na pokład bez rezerwacji.

Nastąpiła przerwa, po której pierwsza odezwała się Suzanne.

— Lauro, dziecinko!

— Słucham, Suzie.

— Spij dobrze - szepnęła i nie mówiąc do widzenia, odłożyła słuchawkę.

\*

Elliott przyglądał się żonie, zapełniającej pięknym drobnym pismem wolne miejsca na zakupionych kartkach. Kaligrafii Laura nauczyła się w katolickiej szkole prowadzonej przez siostry zakonne, którym wolno było pisać do domu tylko dwa razy w roku. Teraz karty włożyła do kopert, które zakleiła i opatrzyła nalepkami z imieniem Anny, Aurory oraz Amelii. Wreszcie przyszła kolej na gratulacje dla Angeli z okazji ukończenia studiów. Tym razem jednak Laura zostawiła kopertę otwartą.

— Włóż do niej czek, Ell! — powiedziała mężowi. — I wystaw go na większą sumę, bo Angela ma sporo pożyczek do spłacenia. Zrobisz to?

— Nie zapominaj, Lauro, że mamy trzy córki, które trzeba wykształcić - przypomniał jej i natychmiast tego pożałował.

— Ależ, Ell! Chyba pamiętasz, że kiedyś nie chciałeś mnie ubezpieczyć. Nie widziałeś takiej potrzeby. Uważałeś, że to zbędny wydatek, bo przecież siedzę w domu i zajmuję się dziećmi. Ja

zaś twierdziłam wtedy, że tym bardziej jest to konieczne, bo skoro nie dokładam się do utrzymania rodziny, niech przynajmniej moja polisa będzie pewnym zabezpieczeniem dla dziewczynek. Dzięki temu teraz otrzymasz za mnie masę pieniędzy; staniesz się bogaty. Będziesz mógł zabrać dziewczynki do Paryża, kiedy Amelia podrośnie. Obiecuję, że to zrobisz, Ell!

Obiecał, choć takiej sytuacji wciąż nie potrafił sobie wyobrazić.

— I nie mam nic przeciw temu — dodała Laura — żebyś zabrał do Paryża także swoją nową towarzyszkę życia. Szczerze pragnę, żebyś się ponownie ożenił, Elliotcie. Naprawdę. Jesteś z gatunku mężczyzn, którzy znajdują szczęście w małżeństwie. — Oboje się uśmiechnęli, bo przez te wszystkie wspólnie przeżyte lata zawsze ich okropnie śmieszyło wspomnienie, że to nie Laura, lecz właśnie Elliott chciał się jak najszybciej ożenić. Laura zaś pragnęła podróżować i być wolną, nawet „wolną

i biedną" — jak mawiała. I to Elliott poczuł prawdziwą ulgę, gdy przydarzyła im się „wpadka” z ciążą. Elliott nie lubił wyjeżdżać z domu. Nie kusiło go nawet, by obejrzeć Grand Canion - Wielki Kanion, a co dopiero Grand Caymans — Wielkie Kajmany\*. Przez trzy tygodnie zbierał foldery, mapy i kupony, by się w końcu wybrać na pięciodniową wycieczkę do Disneyworld na Florydzie, z czego jeden dzień spędził na odwiedzinach u ojca.

„Ach, Elliotcie — myślała Laura. — Skoro już jestem dawcą to chciałabym ci ofiarować tę część mojego ciała, która zawiera gen z zakodowaną chęcią do korzystania z nadarzających się okazji”.

W pewnej chwili Laura uświadomiła sobie, że już czas przystąpić do wydawania ostatnich poleceń. Miała ich długą listę, ale rzucała je w sposób nieskoordynowany, nie według ważności.

- *W pudełku z lekami dla psa* — dyktowała — są

\* Kanion i Kajman - autorce chodzi zapewne o zabawne podobieństwo brzmienia tych słów.

*naklejki, które Elliott powinien umieścić pod odpowiednimi datami W kalendarzu, żeby mu przypominały, kiedy ma podać Athenie pigułki. Wszystkie nazwiska lekarzy i dentystów, łącznie z ortodontą, którego pomocy Kory na pewno będzie potrzebowała, są w moim biurku, w szufladzie po lewej stronie, w skoroszycie oznaczonym: SPRAWY PRYWATNE. DZIEWCZYNKI. W tej samej teczce są też ich świadectwa urodzeń i chrztu wraz z kopiami. Ich polisy ubezpieczeniowe i testamenty znajdują się w sejfie, który otwiera szyfr: 6345789. Zanim Amelia pójdzie do pierwszej klasy, trzeba koniecznie porozumieć się z panną Cook. Sala gimnastyczna dla Kory jest opłacona tylko do lutego. Trener z klubu YMCA twierdzi że to Rory nie wystarczy i przydałyby jej się dodatkowe lekcje prywatne.*

— Ach! — wykrzyknęła nagle. — Zapomniałam o moich przyjaciółkach!

Okazało się, że obecnie Laura była zdolna do skupienia uwagi na jednym tylko punkcie. Skojarzyła go sobie z prymitywną wersją kamery obskury, jaką robiły w czwartej klasie z siostrą Julian,



używając pudełek na buty i czarnego brystolu. Teraz w małym oświetlonym kółku widziała tylko swoją rodzinę.

- Potrzebuję więcej kart, Elliotcie! Muszę mieć jedną dla Rebeki i Whitney, a jedną dla Marley i Elizabeth z Klubu Książki.

- Nie pójde już po żadną kartę — odparł Elliott. Na jego twarzy widać było ogromne zmęczenie. — Chyba za daleko się posuwasz. Wygląda to na jakąś akcję charytatywną.

- Masz rację — przyznała Laura, zagryzając wargi. - Ale powiedz im, zwłaszcza Rebecce i Whitney, jak bardzo ja...

- Czy ty myślisz, Lauro, że one tego nie wiedzą?

- Chciałabym się z nimi pożegnać — powiedziała w zamyśleniu — ale nie mogę się zdobyć na to, by do nich zatelefonować.

W końcu poprosiła pielęgniarkę o arkusz czystego papieru i napisała, co w tej chwili czuła.

*Tęsknijcie za mną, Kochane! Tęsknijcie i rozmawiajcie o mnie! Zapraszajcie też moje dziewczynki, żeby się spotykały z Waszymi dziećmi. I pomóżcie Elliottowi znaleźć żonę.*

— Przecież to mnie obraża... — zaprotestował Elliott. — Twoja prośba brzmi jak: „Upewnijcie się, czy ten stary głupol nie zapomniał zapiąć wszystkich guzików!” Powtórnie się nie ożenię. Kto mógłby kochać nasze dziewczynki jak ja? Kogo innego mógłbym pokochać tak jak ciebie? To śmieszne, Lauro. Przestań! Nie bądź okrutna!

— Elliotcie, ludzie zawsze twierdzą że nigdy się po raz drugi nie ożenią. I mówią to szczerze, bo naprawdę tak myślą. Ale czytałam na ten temat opinię specjalistów. Otóż ich zdaniem, jeśli ktoś był zadowolony z pierwszego małżeństwa, to jest duże prawdopodobieństwo, że w ciągu dwóch lat ożeni się powtórnie. Tylko ci, którym nie odpowiadała rola męża, pozostają wdowcami.

— Gorzej, Lauro, że nie masz już czasu dla

mnie, dla nas... Chciałbym wiecznie mieć cię przy sobie. Pragnę, żebyś wiedziała, co czuję, patrząc, jak szykujesz kolację. I jak mnie to cieszy, że zawsze wiesz, gdzie co leży, albo że, składając bieliznę, śpiewasz stale tę samą melodię. Ciekaw jestem, czy robiłaś to świadomie.

— Nie — odparła. — A co to za melodia?

— To piosenka, którą śpiewa Shakira: *Hey, Big Spender* — powiedział Elliott; niewiele brakowało, by się przy tym roześmiał. — Teraz już wiesz, co nucisz...

— Jasne... - szepnęła, chwytając męża za ramię, a w jej oczach pojawiły się łzy. — Być może, Elliotcie, wydaje ci się, że na tobie zależało mi mniej niż na innych. Ale tak nie jest. Zdaję sobie sprawę, że mówię chaotycznie... Nie znaczy to jednak, że kocham cię mniej. Nie! Kocham cię bardziej niż kiedykolwiek. Jakbym widziała w tobie moje drugie wcielenie, jakbyś był częścią mnie samej. Wiem, że rozumiesz mnie lepiej niż inni... Miałam, tak,

miałam zamiar cię spytać, czy nie chciałbyś się ze mną kochać. Chyba mi to nie zaszkodzi, a dla nas będzie to już ostatnia szansa.

Elliott skrzywił się i wstrzymał oddech.

— Wiedziałam, kochany, że tak zareagujesz. Rozumiem cię. Byłoby to pewnie zbyt... przerażające. Zupełnie jakbyś się kochał z...

— Nie, wcale nie o to chodzi... Ale nie mógłbym, Lauro... Bałbym się, że sprawię ci ból. Pragnę czegoś innego: żebyśmy byli sami, tylko we dwoje, żebym cię trzymał w ramionach i tak zasnął...

— Przecież mamy jeszcze trochę czasu, Ell. Wydaje się jednak, że trzeba będzie poczekać, abyśmy znów mogli porozmawiać sam na sam - dodała ze znaczącym błyskiem w oku, kiedy ujrzała swoje córki w drzwiach pokoju.

Mała Amelia miała jeszcze na sobie nocną piżamkę, natomiast idąca za dziewczynkami Miranda była odświętnie ubrana w wytwornej sukni w kolorach żółtobrazowym i brązowoszarym.

— Mała nie chciała się przebrać — tłumaczyła się przed Elliottem, po czym przechyliła się i pocałowała zięcia w policzek. Wzdrygnął się, ale miał nadzieję, że teściowa tego nie zauważyła. Pocałowała też Laurę w policzek, nie przestając narzekać na dziecko: — Siłowałam się z nią przez trzydzieści minut... — Łatwo było sobie wyobrazić, z jakim zgorzeniem Miranda ciągnęła do szpitala dziecko w wymiętej piżamie. Laura milczała.

Amelia uparcie nie chciała podejść do łóżka matki. Annie także trzymała się z daleka. Tylko Rory z okrzykiem „mamusiu!” rzuciła się, by objąć chorą.

— Uważaj! — krzyknął Elliot i Rory zastygła w bezruchu.

— Nic się nie stało, Ell - uspokoiła go Laura. — Rory nie zrobiła mi żadnej krzywdy. Wszystko w porządku, Rory. — I zaśpiewała: — „Rory, Rory, oddaję ci honory, bo cuda czyni równoważni mistrzyni”... Jakie to straszne, że musicie mnie oglą-

dać w takim stanie. Gdybym miała milion dolarów, chętnie bym je oddała, byleście nie musiały...

— Niestety, nie masz miliona dolarów, mamusi — stwierdziła Rory — i wcale nie wyglądasz na chorą.

— Ale jestem chora, kochanie - tłumaczyła Laura. — Tego nie widać, jest we mnie w środku.

— Jak rak?

— Coś w tym rodzaju, choć nie to samo. — Laura westchnęła, myśląc, że w całych Stanach jest chyba jedyną osobą, która autentycznie chciałaby mieć raka. — Podaj mi te samoprzylepne kartki, kochanie! Możesz? — zwróciła się do Rory. — Boję się, że czegoś zapomnę. — I napisała, drukowanymi literami: *Wyszędł nam już płyn do nawilżania sierści psa. Trzeba odebrać odzież z pralni Cantoriniego. Proszę **żebyś** zachował po jednym moim pierścionku dla naszych dziewczynek; a pierścionek po babci ma dostać Annie. Znajdź im odpowiednie grupy wsparcia dla osób w żałobie. Pomoże ci w tym moja znajoma, pani Paula Miles z hospicjum.*

Zdawała sobie sprawę z niemożności skondensowania całego swojego życia, pełnego zarówno rutynowych, jak i śmiałych działań, tak nieraz odruchowych jak połykanie i tak oczywistych, że nie trzeba było sobie o nich nawet przypominać. Czuła się tak, jakby miała niewidomemu od urodzenia opisać kolor pomarańczowy. Gdyby oboje z Elliottem zginęli w wypadku drogowym, dziewczynki i tak by się jakoś wychowały. Siostra Laury, Angela, byłaby ich prawnym opiekunem. Ale one przecież nie potrzebowały opiekuna: miały ojca. Ona też jakoś dorosła, bo miała matkę.

Pośpiesznie dopisała:

*Znajdź instytucję, która dysponuje wychowawcami pracującymi z dziećmi w ich domu. Daj ogłoszenie w college'u. Podkreśl, że chodzi o pomoc dzieciom, które mają problemy. Nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby jeszcze dodać, ale w końcu zdecydowała się na uwagę: *Zrób to bez względu na koszty i kontynuuj co najmniej przez dwa lata.**

Gdy odłożyła pióro, spytała:

- Czy chcielibyście, żebym z wami trzema rozmawiała sama, bez tatusia i babci? Czy może każda osobno chce ze mną rozmawiać?

- Wszystkie razem - odpowiedziała Rory, przywołując ręką Amelię; mała włożyła palec do buzi i potrząsała główką. Potem wysunęła do przodu stopę w czerwonym kapciu, jaki dostała od świętego Mikołaja, chcąc, by matka go zobaczyła. Laura się uśmiechnęła i ruchem dłoni potwierdziła, że go widzi.

- Przepraszam, ale jeśli mój głos w ogóle się tu liczy, to wolałabym porozmawiać z tobą sama, bez nich — oznajmiła Annie, wskazując na siostry i ojca. Laura uważnie ogarnęła ją spojrzeniem i poczuła ból w sercu, widząc, jak się ubrała. Córka włożyła dziś spódniczkę i bluzkę, a także w wyszukany sposób splotła warkocze. „Próba generalna przed pogrzebem” - pomyślała.

- Okej! W porządku! Niech będzie. A wy się



zgadzacie? — Laura zwróciła się do pozostałych. Zauważyła też, że niebo jest uderzająco czyste, a na horyzoncie pojawiło się słońce. „Tej nocy, mimo że padał śnieg, widać będzie gwiazdy...” — przeleciało jej przez myśl.

Elliott wziął na ręce Amelię i wyprowadził Rory. Miranda poszła za nimi.

Annie usiadła naprzeciw matki na jedynym krześle, jakie się tu znajdowało. Było drewniane, proste i równie niewygodne jak stołek barowy.

— Dlaczego nie podejdziesz bliżej i nie usiądziesz przy mnie? - spytała Laura.

— Z oczywistych powodów — odparła Annie, wydymając wargi.

— Przecież nie wydzielam złego zapachu ani nie zapadłam na zaraźliwą chorobę! — ostro zareagowała Laura.

— Miałam jedynie na myśli, iż oczywiste jest, że wtedy bym się rozpłakała.

— Ach tak...

— I nic byśmy sobie nie wyjaśniły.

— A mamy coś do wyjaśnienia?

— Tak, parę spraw — oświadczyła Annie.

„Chyba moja córka sporządziła jakąś własną listę problemów do rozwiązania” — pomyślała Laura i zaczęła mrugać powiekami. Starając się to ukryć, udawała, że poprawia poduszkę.

— Zacznę od przyznania się, że to ja ukradłam ci te dwadzieścia dolarów. I przepraszam, że nazwałam cię w liście suką, ale ty pewnie nie wiesz, że ten list był ode mnie... Poza tym spodziewam się, że już wkrótce dostanę pierwszą miesiączkę. I jeszcze coś: będąc u Justina, paliłam papierosa, a wczoraj wieczór ugryzłam Amelię. Zrobiłam to dlatego, że ona uderzyła mnie tą swoją ohydną kosmetyczką i mam teraz czerwoną pręgę na głowie.

— Tak, Annie. Ja o tym wszystkim wiem — odrzekła Laura, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie. - Nie wiedziałam tylko, że ugryzłaś Ame-

lię; uważam, że w tym wypadku już przesadziłaś. Niemniej dobrze o tobie świadczy, że chciałaś mi o tym powiedzieć. A jeśli chodzi o menstruację, możesz używać moich podpasek. Są w łazience pod umywalką. Wkładasz taką podpaskę do majteczek i wcale jej nie czujesz. Nie lepią się nawet wtedy, gdy się zabrudzą. Lubiłam z nich korzystać, bo są niekrępujące. Nie wierz nikomu, kto mówi, że w czasie menstruacji nie można pływać, ćwiczyć czy robić innych tego rodzaju rzeczy...

- Ale ciebie przy mnie nie będzie... Powiedz, ładnie to tak?

- Chyba nie myślisz, że specjalnie wybrałam sobie właśnie tę porę, aby umrzeć!

- Nie, ale to wszystko jest do bani... Nie rozumiem, jak to możliwe, żeby moja mama, która wykonuje dwieście skłonów tułowia w jednym dniu, umarła w ciągu ośmiu godzin.

- Przecież nie robię tego z własnej woli! — rzuciła Laura, wzruszając ramionami.

- Tata mówi, że mogłabyś się poddać operacji.
- Ale w rezultacie byłabym upośledzona umysłowo. To nie wszystko: trzeba by było mnie karmić przez rurkę, nie poznawałabym ludzi, nie wiedziałabym, kim jesteście.

- Skąd masz tę pewność? - spytała Annie, zaciskając pięści. Na palcach miała jaskrawopurpurowe, błyszczące tipsy. — Nie możesz przewidzieć, jaki będzie stan twego umysłu po operacji. Czy nie sądzisz, że jesteś nam to winna... że powinnaś przynajmniej spróbować coś zrobić, zamiast leżeć tu w tej pięknej lizesce i umierać?

- Anno Lee - zaczęła Laura poważnym tonem — słyszałam, co mówił lekarz. Jego zdaniem operacja byłaby bezcelowa. I na domiar złego zaczęłybyście mnie nienawidzić...

- A ja nienawidzę cię za to, że nie chcesz się poddać operacji! I co ty na to?

- Nie bardzo mi się to podoba.

- Nienawidzę cię za to, że jesteś taką egoistką

i nawet nie pomyślisz o tatusiu i o tym biednym maleństwie. Przecież Amelia w ogóle nie będzie cię pamiętała — perorowała Annie.

— Wolałabyś, żeby mnie zapamiętała jako unieruchomioną w łożku jarzynkę, którą z powodu odleżyn wciąż trzeba przewracać z boku na bok i którą się karmi przez otwór w brzuchu. Bo tak by to wyglądało, Annie. Ja nie kłamię. Z przykrością ci to mówię, ale tak by było. Musisz pomóc Amelii, żeby mnie zapamiętała taką, jaką jestem teraz, i proszę, żebyś to zrobiła, Anno Lee.

— Piękne dzięki! Przypuszczam, że odtąd będę musiała grać rolę osoby dorosłej, tak jak ty, gdy umarł twój ojciec. Tata okaże się zapewne słabeuszem i psycholem, a ja będę zmuszona opiekować się Rory i małą Amelią i zupełnie nie będę miała czasu dla siebie. Dziękuję za takie życie, mammo!

Do tej pory Laura sądziła, że stosunki w jej rodzinie są poprawne. Zbyt późno uświadomiła sobie, jak zagubione czuły się najbliższe jej osoby.

- Nie oczekuję, że będzie aż tak źle - pocieszała córkę. — Ojciec się na pewno wami zaopiekuje i babcia też.

- Babcia? To uosobienie słodyczy?

- Myślę, że się zmieni, że to, co się stanie, ją odmieni. Tak zwykle bywa z ludźmi, gdy dosięga ich bolesny cios. Ale co z tobą, Anno Lee, że mi nie współczujesz, że nie żałujesz, iż muszę was opuścić? Przecież w końcu to ja tu leżę unieruchomiona w tym głupim łóżku. To ja zbyt długo tkwiłam na placu „Wielkich Wykopów” zamiast od razu znaleźć się w szpitalu.

- Czy gdybyś zjawiała się tu prędzej, mogliby ci pomóc? - Na chwilę twarz Annie znowu stała się twarzą dziecka, jakby spoza nadciągających deszczowych chmur nagle wyrzało słońce. Wyraz bezradności zastąpiła nadzieja.

- Nie, kochanie, to było absolutnie niemożliwe - usłyszała. - Wcześniejsze przybycie nic by tu nie pomogło.

— Powinnaś podać władze miasta do sądu.

— Za to, że dysponowały tylko zdezelowanym starym samochodem?

— Nie! Za to, że karetka nie dotarła na czas. W takich wypadkach ludzie skarżą miasto. Ciągłe się o tym czyta w gazetach.

— Daj spokój, Anno, proszę cię — apelowała Laura. — Masz prawo być zła, ale wolałabym, żebyś teraz tej złości nie objawiała, ponieważ później znienawidzisz przez to samą siebie i będziesz się podle czuła.

— Mam do ciebie jeszcze inną sprawę... - podjęła Annie.

Laura żałowała, że nie ma przy sobie zegarka. Bała się, żeby Annie nie przekroczyła przeznaczanego dla niej czasu. „Przecież innym też się on należy. Musi go jeszcze wystarczyć dla matki, Elliotta i rodzeństwa” — myślała.

— Jaką masz sprawę? — spytała.

— Chciałabym na drugie imię przybrać twoje.

— Nie wydaje mi się, żeby Anna Laura dobrze brzmiało. Te imiona do siebie nie pasują.

— Nie, chodzi mi o Annie Laurie. Przypadkiem się dowiedziałam, że kiedyś tak chciałaś mnie nazwać, ale tata się uparł, żeby mi dać na drugie imię Lee. Wszystko przez tę głupią piosenkę o czereśniowym drzewie i starym domku na farmie; a ty, jak zwykle, ustąpiłaś.

Wściekłość, z jaką Anna mówiła, była przerażająca. Laura jednak w swojej naiwności wierzyła, że wiele lat upłynie, nim ten ostry sposób reagowania stanie się widoczną cechą córki.

— Prawdę mówiąc, nie zawsze jestem taka skora do ustępowania, ale masz rację. — Wprawdzie wtedy, gdy Laura wychodziła za męża, tę piosenkę — według standardów obowiązujących w gronie ich przyjaciół - uważano za niemodne starocie, Elliott się uparł, aby dać córce imię upamiętnione dawno przebrzmiałym przebojem Al Koopera. Być może powodem było też to, iż tyle razy słuchał tej baso-



wej frazy na organach, że w końcu płyta się doszczętnie zniszczyła. — Zapewniam cię, Annie, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś zmieniła swoje imię. W tym celu nawet nie musisz iść do sądu. Zmień je i już... Zaczynj od wpisania nowego imienia na szkolnym świadectwie. A mnie będzie bardzo miło, że to po mnie...

— Piosenkę o „Annie Laurie” pamiętam z czasów, gdy byłam małym dzidziusiem. Ty mi ją śpiewałaś, mamó — powiedziała Annie, wstając, a jej drobne, lecz mocno zbudowane ciało ciągle jeszcze dyszało gniewem. — Zaraz, jak to szło? „Ja kocham Annie Laurie i dla tej miłości oddam życie swe i w grobie złożę kości”.

— Ach, więc ty to pamiętasz, droga moja, moje kochanie...

— O, tak, pamiętam... — mruknęła Annie, odwróciła się i dumnie ruszyła w stronę wyjścia. W drzwiach krzyknęła: — Następna!

— Zaczekaj, Annie! — zawołała Laura i usiadła

w łóżku. — Pozwól mi się choć dotknąć, kochanie!  
Zrób to dla mnie, nie dla siebie!

Annie przez chwilę się ociągała, ale wróciła i wyciągnęła do matki rękę. Laura ucałowała wewnątrz jeszcze dziecinnej dłoni córki i zanim zamknęła jej palce, szepnęła:

— Spójrz na swoją linię życia, dziecinko, jaka jest długa i mocna. Ojej, dożyjesz późnej starości, moja droga. A zobacz, ilu zakochanych przecina linię serca. Jeden z nich pojawi się już niedługo...

Wargi Annie zadrgały.

„O, święta Anno! — modliła się Laura. — Pomóż mi, żebym się nie załamała i nie żebrała o litość. Spraw, żebym była taką matką, jaką Ty byłaś”.

— Annie, córeczko, kocham cię całym sercem. Wybacz mi, moje dziecko! - Spojrzała na córkę, której oczy skierowane były na wschodzące słońce. — Możesz już przysłać tu Rory — powiedziała, wypuszczając dłoń Annie. Z pewną wdzięcznością zauważyła, że dziewczynka nadal trzyma palce lek-

ko zaciśnięte. Stała przy łóżku wyprostowana jak struna i wyglądała przez okno.

— Wreszcie pokazało się słońce — oznajmiła — a śnieg prószy coraz słabiej. Boże Narodzenie chyba nie będzie białe w tym roku.

Nie patrzyła na matkę, ale i nie ruszała się z miejsca.

W pokoju dla odwiedzających, gdzie widziało się tylko ludzi płaczących lub śpiących, Elliott zaproponował teściowej filiżankę kawy. Gdy zajrzał do garnka, nawet jego niewyczulony na zapachy nos rozpoznał woń spalenizny.

— Myślę, że trzeba zaparzyć nową — orzekł, ale nie widzę tu żadnej kawy.

— Wolałabym napić się herbaty — powiedziała Miranda. Elliott przetrząsnął mały, niezbyt czysty koszyczek i znalazł torebki ekspresowej herbaty.

— Gorącą wodę bierze się chyba z kranu? - spytał naiwnie.

- Nie, Elliotcie! Przepłucz zwykłą wodą maszynkę do kawy, a potem wlej nową wodę i poczekaj, aż się zagotuje. Może także miałbyś ochotę na herbatę? Co? Ona uspokaja. — Miranda posadziła sobie Amelię na kolanach. Dziewczynka siedziała, trzymając kciuk w buzi, i z napięciem wpatrywała się w kreskówkę, przedstawiającą dwa czworonożne stwory, przypominające nieco odbiorniki telewizyjne; stwory albo obrzucały się naczyniami kuchennymi, albo tańczyły, zataczając koła. W pewnej chwili Amelia wyrzuciła przed siebie obie silne nóżki i tak długo nimi poruszała, aż Miranda spuściła ją z kolan. Wydała przy tej szamotaninie ledwie słyszalne cmoknięcie, którym wyraziła swoje niezadowolenie. Ten cichy krytyczny dźwięk dotarł jednak do uszu ojca Amelii.

Elliott złapał się na tym, że także obserwuje bohaterów kreskówki, którzy teraz przyłgnęli do siebie tyłami, jakby ich ktoś zlepił.

- Wydaje mi się, że możemy już nalać sobie

herbaty — powiedziała Miranda, lekko pokaszując. —  
Bardzo chce mi się pić.

Podając teściowej papierowy kubek ze zrolowanym brzegiem, Elliott zauważył, że Miranda nie tylko spryskała lakierem i szesała do tyłu włosy, najwyraźniej ostrzyżone w bardzo drogim zakładzie fryzjerskim, ale także narysowała cienkie, ledwo widoczne kreski pod dolnymi powiekami. Zrobiła je czarnym tuszem i misternie poprowadziła tuż pod rzęsami. Elliott nie mógł zrozumieć, jak kobieta udająca się do swojej córki na łożu śmierci może zdobyć się na taką przytomność umysłu, by sobie zrobić najbardziej wymyślny makijaż. Sądził, że kobiety tak się upiększają tylko na wytworne, wieczorne przyjęcia, kiedy wymagany jest specjalny strój i gdy chcą zadawać szyku. Zastanawiał się, jak jego teściowa mogła w takiej chwili ubierać się z iście drobiazgową starannością dobierając kolor pończoch do butów na niskim obcasie i buty do torebki.

A może dzięki temu Miranda mogła zachować spokój i nie załamano się?

— Myślałem... — zaczął i urwał.

- Myślałeś... - ponagliła go.

Elliott posadził sobie Amelię na kolanach, a ona, pólężąc, oparła się o niego plecami.

— Amelia chce pić — powiedziała.

Ojciec pozwolił jej upić trochę swojej letniej, przesłodzonej herbaty.

— A czy herbata jej nie pobudzi? Może nie będzie mogła zasnąć? — zaniepokoiła się Miranda.

- I tak nie będzie spała - odrzekł Elliott, wzruszając ramionami.

— Chcę siusiu — oznajmiła Amelia. Elliott zaprowadził ją do czyściutkiej łazienki z bardzo wysokim sedesem.

- Nie chcę na tym siadać. Mogę umrzeć od tego — sprzeciwiła się mała.

- Nie bój się! Nie wpadniesz. Tatuś będzie cię trzymał - uspokajał ją Elliott.

— Chcę, żeby mnie mama trzymała! — broniła się Amelia.

„Czy powinienem poprosić tu Laurę? — Elliott zadawał sobie w duchu pytanie. Na pewno by się wzruszyła, może nawet za bardzo, słodyczą tego trywialnego żądania”.

Amelia kurczowo trzymała się ramion ojca, gdy nagle do jego uszu zaczął docierać szmer pierwszych spadających kropli.

— Siusiaj, kochanie! Siusiaj! Wysusiaj wszystko do końca! — namawiał.

Mocny uścisk ramion Amelii przywiódł Elliottowi na myśl obraz katastroficznych zmian, jakie miały nastąpić w jego życiu: puste łóżko; jeden rząd ustawionych parami butów; szuflady, w których braknie szalików, i szufladki ze skarpetkami nie do pary; suszarka nad wanną bez staników, które niby miniaturowe chorągwie powiewały na wieszakach. Sam będzie wyłączał alarm. Sam, bez Laury, będzie się budził w ciemności. Przypo-

mniały mu się noce, kiedy Laura, niczym pocisk samonaprowadzający się na ciepło, przyciskała jędrne pośladki do jego krzyża tak mocno, że w końcu leżał na samym brzegu łóżka. Zastanawiał się, czy dnie będą nadal promienne bez sennego szeptu Laury: „Pora zabrać się do smażenia pączków, Ell. Już najwyższy czas...” Pomyślał o skamlącym warczeniu Atheny, gdy się budzi i zrywa ze swego legowiska, najpierw unosząc tył. O zapachu perfum „Kwiaty Antonii”, które dawał żonie co roku na Gwiazdkę. Czy trawa będzie nadal rosła, kiedy już nie będą się kłócili o to, kto ją ostatnio kosił i czyja teraz kolej? Czy słońce nadal będzie wschodziło, gdy oni nie będą się już wzajemnie prosić o to, by jedno wstało wcześniej i przygotowało płatki owsiane? Chodziło o pięć cennych minut snu, zanim do szturmu ruszy nowy dzień. A co będzie z odwożeniem dzieci do szkoły, z obiadami i wypełnianiem szkolnych formularzy? Nieraz z Laurą żartowali, że przy trojgu dzieciach szkoła generu-



je więcej papierkowej roboty niż Pentagon. Teraz to wszystko spadnie na niego, cała praca i liczne obowiązki. Będzie musiał radzić sobie bez Laury, która go przekonywała, że nie trzeba się przejmować tymi sprawami, że nie mają one większego znaczenia, a jutro nastąpi szybciej, niż się spodziewa.

Amelia patrzyła na niego szeroko rozstawionymi szarymi oczami, w których zawsze czaiła się niepewność.

— Wszystko w porządku, córeczko! — uspokajał ją. — Będzie okej!

Umył ręczki Amelii i wytarł tanim papierowym ręcznikiem, źle wchłaniającym wodę.

„Dlaczego w tym szpitalu nie poświęca się więcej uwagi ludziom, którzy przeżywają ciężkie chwile? - zastanawiał się. - Dlaczego nie daje im się poduszek, koców... nie częstuje ciepłymi słodkimi bułeczkami?"

Przypuszczał, że te przyjemne, lepsze rzeczy

były dostępne tylko w poczekalniach, w których krewni czekali na dobre wieści z sal porodowych.

— Zacząłeś mi coś mówić i nie dokończyłeś — teściowa zaatakowała Elliotta, gdy wrócił z Amelią do pokoju.

— Chciałbym usłyszeć od ciebie, co powiedziałaś dziewczynkom — wydusił z siebie w końcu. — Żeby wiedzieć, do czego mam później nawiązać.

Miranda westchnęła.

— Nie miałam zamiaru w ogóle z nimi o tym rozmawiać, ale Annie mnie spytała, czy matka jest naprawdę chora. Oczywiście, następne pytanie dotyczyło tego, jak bardzo jest chora, no, a potem, kto się będzie nimi teraz opiekował.

— I ta rozmowa odbywała się w drodze z Natick do szpitala?

— Tak. Jestem przekonana, że ty potrafisz im to potem lepiej wytłumaczyć - zapewniała zięcia. - W każdym razie możesz być spokojny - z własnej woli nie mówiłam o rzeczach, o które nie pytały.

— To dobrze.

Miranda znowu westchnęła.

— Jej ojciec, ojciec Laury... — teraz westchnienie było długie, pełne żalu, a jej twarz - jak dalece Elliott był w stanie to ocenić — nie wyrażała czułości, lecz rozdrażnienie — ...upadł w łazience i zaciął się podczas golenia. Słyszałam, że pada, zresztą nie jestem pewna, czy to nie Suzie usłyszała, ale myślałam, że może go zamroczyło, bo tak się przejął tym skaleczeniem... Krwawił, więc zeszyli mu ranekę. I wyobraź sobie: umarł cztery godziny później!

— Chyba lekarze myśleli, że twój mąż będzie żył, najwyżej pozostanie mu tylko jakieś niewielkie upośledzenie.

— Może i tak myśleli, ale powiedzieli coś zupełnie innego — oświadczyła zdecydowanym tonem.

— Masz więc uczucie, jakbyś już raz przez to wszystko przechodziła.

— Nie mówię tego, żeby cię dotknąć, ale zapew-

niam, że bez względu na to, jak bardzo się kocha męża, jego śmierć nie jest tym samym, co utrata dziecka. Moje dziecko umiera, a ja wciąż nie mogę w to uwierzyć. Mam jednak nadzieję, że znajdzie się jakiś sposób... Kiedy widzę Laurę taką zadbaną z włosami pięknie wyszczotkowanymi, nie mogę zgodzić się z twierdzeniem, że moja córka jest śmiertelnie chora. Ona umiera, a my na to patrzymy i jesteśmy bezradni... Nie potrafimy jej pomóc.

— Według lekarzy dla Laury nie ma ratunku. Tak powiedział doktor Campanile. I dodał, że możemy jakiś czas sztucznie podtrzymywać życie po to, by zachować jej organy do przeszczepu.

— Chyba się na to nie zgodziłeś?

— Owszem, zgodziłem się, ponieważ Laura tego pragnie.

— Ależ, Elliotcie, to jest... straszne. Przecież tego rodzaju decyzja może zachęcić lekarzy, żeby się zbytnio nie starali. Tak przynajmniej uważa moja młodsza siostra, Juliet...

— Moim zdaniem ten lekarz jest przyzwoitym człowiekiem.

Do pokoju weszła Rory. Oczy miała czerwone, na pewno je tarła. Poprosiła ojca o pieniądze na pepsy i Elliott, pogrzebawszy w kieszeniach, dal jej dolara drobnymi.

Dziewczynka usiadła i poważnym głosem oświadczyła:

— To mnie wykańcza...

— I to jest normalne — usłyszała z ust babci. — Jesteś bardzo dzielna, Auroro Mirando.

Rory się pochyliła i oparła o kolano Elliotta. Wydawała się strasznie ciężka: trzydzieści kilogramów jej ciała stanowiło bezwładną, pozbawioną energii masę.

— Tatusiu — szepnęła.

— Słucham, córeczko! — Elliott objął ją i delikatnie odsunął na bok, uwalniając drętwiejące kolano.

— Czy dlatego, że mamusia umrze, będziesz musiał sprzedać nasze auto? I dom?

— Ależ nie! Kto ci to powiedział?

— Caitlin Carver. Kiedy jej matka się rozwiodła, musiała sprzedać dom.

— Ach, Rory! My z mamusią się nie rozwodzimy. Nigdy się na siebie aż tak bardzo nie gniewaliśmy i tego nie zrobimy. Nie sprzedamy domu. Wszystko w nim pozostanie bez zmian. Nie martw się, dziecinko.

— A co będzie z psem? Athena zjada tygodniowo około pięciu kilogramów mięsa, jarzyn i innych produktów. Chyba będziemy musieli ją sprzedać...

— Nie, Rory, nie będziemy musieli sprzedać Atheny.

Dziewczynka jednym ruchem zrzuciła buty z nóg i podreptała w stronę holu, gdzie stał automat z napojami. W drodze obejrzała się i spytała:

— Tatusiu, a czy ja będę musiała zrezygnować?

— Z czego?

— Z lekcji gimnastyki. Wiem, jakie są drogie...

Mamusia mówi, że jestem już na odpowiednim poziomie, i powinnam brać prywatne lekcje, ale nie musisz ich dla mnie załatwiać...

— Zrobimy dokładne obliczenia — wyjaśnił Elliott. — I wszystko będzie dobrze.

Rory opuściła pokój; usłyszeli, jak wrzuca monety, a potem dotarł do nich brzęk, gdy napój wylądował na tacy.

— Dlaczego Rory myśli o sprzedaniu psa? — Elliott głośno się zastanawiał, mówiąc ni to do Mirandy, ni to do siebie.

— Dzieci takie są — stwierdziła Miranda. — Moje też sprzedały psa, kiedy ich ojciec umarł. Miały zamiar... Elliotcie, możesz mi śmiało powiedzieć, że bym zamilkła, jeśli tego chcesz, ale ja coś o tych sprawach wiem... Otóż moje dzieci zamierzały w garażu urządzić wyprzedaż swoich starych ciuchów; na pewno nękały je takie same obawy, jakie dziś gnębią Rory. To nie jest tylko egoizm i nawet nie świadczy o przesadnym egocentryzmie. Może

dzieci są tak zaprogramowane przez naturę, by przede wszystkim myśleć o przetrwaniu... Nie umiem tego wyjaśnić. Być może jest to po prostu instynkt samozachowawczy...

— A można by się spodziewać, że w takiej chwili jak ta będą myślały jedynie o swojej matce i o niczym więcej.

— Przypuszczam, że w ich oczach Laura wygląda tak samo jak zawsze: nie straciła włosów, nie jeździ na wózku inwalidzkim, trudno więc wymagać, by pojęły, jak bardzo jest chora... - argumentowała Miranda. Po chwili zadała zięciowi nieoczekiwane pytanie: - Twoje sprawy dobrze się układają prawda?

— Moja żona umiera, jak mi się może dobrze układać! — odparł zgorzony. — Nie szlocham, nie krzyczę, ale... — „Jak to ze mną jest? - pytał sam siebie. — Zachowuję się jak idiota, kupuję karty z napisem »Szerokiej drogi, absolwentko!«. Ledwo zipię, a ciągle jestem na chodzie”.



— Nie zrozumiałeś mnie, Elliotcie. Chodziło mi o twoje sprawy finansowe.

— Co takiego? Jak możesz teraz poruszać taki temat, Mirando? W każdym innym czasie, ale nie teraz...

— Pytam, bo się o was troszczę. Może mogłabym wam pomóc. Czy naprawdę wystarczy ci pieniędzy, żeby zadbać o dzieci, gdy nie będzie już zarobków Laury?

— Powiem ci prawdę: jesteśmy wysoko ubezpieczeni. Laura kiedyś usilnie na to nalegała.

— To bardzo dziwne, przecież tak niewiele zarabiała.

— Niemniej jej udział wiele znaczył w naszym budżecie. Z tych pieniędzy opłacaliśmy lekcje dziewczynek. A o zawarciu umowy ubezpieczeniowej Laura pomyślała, kiedy byliśmy jeszcze bardzo młodzi, bo wtedy stawki są znacznie niższe. Traktowaliśmy to jako rodzaj inwestycji dla córek. Polisy nabyliśmy dawno temu...

— Hmmm — mruzczała Miranda. — Wygląda na to, że Laura miała jakieś przeczucie.

— Nie, Mirando! Wiedząc, że stawki będą niskie, Laura traktowała ubezpieczenie wyłącznie jako dobrą inwestycję. To było coś w rodzaju lokaty oszczędnościowej, której nie można tknąć. Nie tak jak zwykłe konto, z którego się pobiera pieniądze, ilekroć któreś z dzieci zapragnie nowej gry komputerowej.

— No dobrze, ile zatem pieniędzy dostaniecie teraz?

— Myślę, że jakieś dwieście tysięcy dolarów, a może więcej.

— Daleko z tym nie zajedziesz.

— Tysiące dolarów?! — wrzasnęła uradowana Rorty. Elliott i Miranda wzdrygnęli się i po raz pierwszy, odkąd się znają porozumiewawczo na siebie spojrzeli. Niemniej niestosowny okrzyk Rory nie sprowokował ich do udzielenia jej nagany. — Będziemy bogaci! — entuzjasmowała się dziewczyn-

ka. — Będziemy tacy bogaci jak Priorowie czy Wisenowie. Możemy zainstalować basen w ogrodzie!

„Nie warto być matką...” — pomyślał Elliott i złośliwie się do Mirandy uśmiechnął, na co sobie chyba nie zasłużyła.

- Nie, Rory! - zwrócił się do córki. - Nie będziemy tacy bogaci jak Priorowie czy Wisenowie i nie zbudujemy basenu w ogrodzie, choćby dlatego, że Amelia nie umie pływać, mogłaby wpaść i... — Tym razem nie był w stanie się powstrzymać, by dziecka nie upomnieć: — Rory, trudno mi uwierzyć, że to powiedziałaś!

— A co ja takiego powiedziałam?

Elliott westchnął. Uświadomił sobie, że Rory nie wyczuwa niestosowności swego zachowania. Dziewczynka nie zdawała sobie sprawy z nietaktu, polegającego na tym, że do pieniędzy i śmierci przykładała taka samą miarę. „Jakże okropna i skomplikowana jest sytuacja spadkobiercy!” — pomyślał. Choć zaszokował go materializm dziecka,

wiedział, że pojęcie nieodwołalności śmierci jest dla Rory wciąż jeszcze czymś niezrozumiałym. Kiedyś w pracy usłyszał opinię, że dzieci przeżywają żałobę zupełnie inaczej niż dorośli. Człowieka dorosłego najboleśniej dotyka utrata bliskiej mu osoby na początku, potem powoli wraca do równowagi. Dzieci natomiast początkowo są obojętne, ale im dłużej trwa nieobecność kochanej osoby, tym mocniej odczuwają jej brak.

Elliott i Miranda przyglądali się Rory, a gdy dziewczynka wróciła do pokoju matki, oboje jednocześnie odetchnęli.

— Gdybyśmy chcieli być zgodni z naszymi zasadami, to powinniśmy się wstydzić, Mirando! — ostro zareagował Elliott. — Nie zrozumiałem twojego pytania: myślałem, że chodzi ci o stan mego ducha. — I nagle taka dzika i gorąca nienawiść go opanowała, że się dziwił, iż Miranda nie czuje, że języki tego ognia, który w nim płonie, liżą i palą jej, zdawałoby się, spokojną twarz.

— No i dobrze — skwitowała wypowiedź zięcia. — To, co Rory powiedziała, jest normalne. Dzieci chcą wiedzieć, co je czeka, co się z nimi stanie. Nie potrafią rozpaczać, kiedy ogarnia je lęk o byt... Wiem na pewno, że tak jest.

— A co z tobą, Mirando? Wszystko w porządku?

— Nie jestem taka głupia, by nie wiedzieć, że chodzi ci o to, co czuję w stosunku do Laury. Laurie jest moim dzieckiem. Spodziewałam się, że mnie przeżyje o wiele, wiele lat. Chyba dlatego doznałam szoku...

— Ale dotąd nie okazywałaś zbytnej troski o nią — przerwał jej Elliott. I nagle uderzył się w czoło. — Zagalopowałam się! Mam oczywiście na myśli ten okres życia Laury, kiedy byliśmy małżeństwem. — Elliott sam sobie nie wierzył, że się zdobył na taką śmiałość. Nikt z ich grona nie odważyłby się w taki sposób odzywać do Mirandy. — Nigdy nie miałaś do Laury prawdziwie matczyne-go stosunku i wobec wnuczek też się nie zachowy-

wałaś jak na babcię przystało. Jeśli łaskawie odwiedzałaś nasz dom, to wyłącznie w czasie wakacji. I nie koniec na tym. Nie zdarzyło się, żebyś zatelefonowała do nas ot tak sobie, bez powodu. I nie wiem, czy pamiętasz, ale ani razu się nie zgodziłaś, żeby dziewczynki zostały u ciebie na noc.

- Przecież do późnej nocy pracowałam...

— Wcale nie musiałaś...

- Owszem, musiałam, a poza tym...

— Po prostu uważałaś — wszedł jej w słowo — że łatwiej jest zajmować się zupełnie obcymi ludźmi i pomagać im w urzeczywistnianiu marzeń niż poświęcać czas własnym dzieciom. — Jego głos stawał się coraz bardziej ochrypły. Elliott zdawał sobie sprawę, że ten atak na Mirandę niczym dobrym się nie skończy, i był na siebie wściekły za to, ale nie przestał jej oskarżać: — A nie widzisz, jaki nieuporządkowany tryb życia prowadzi Stephen? Jakby myślał, że wciąż jeszcze jest studentem!

— Spędzaliśmy z dziećmi sporo czasu, grając w karty - powiedziała Miranda.

— Graлиście z nimi w karty?

— Tak, a także rozwiązywaliśmy szarady. Dzieci bardzo to lubiły. Żebyś wiedział, co one wyra-  
biały... Bawiły się — w lecie zawsze na dworze —  
w chowanego i w taką grę latarkami. Całe groma-  
dy do nas przychodziły: nasi kuzynowie i dzieciaki  
z naszego osiedla.

— Koloryzujesz — oziębłe zauważył Elliott.

— Gdy żył Stephen senior, często spotykaliśmy  
się z rodziną. Przyjmowaliśmy gości; podawaliśmy  
poncz, rum i sidr, bo nikt z nas nie był zbyt  
zamożny. Przychodziła moja siostra, Juliet, i Jim-  
my, przyjaciel Stephena z pracy, z żoną Greczynką.  
Przypominam sobie, że bawiąc się w starym domu,  
rolowaliśmy dywan i tańczyliśmy do upadłego. Za-  
chowały mi się nawet filmy z tych imprez.

— A później?

— Staralam się, jak mogłam, naprawdę. Kiedyś

z okazji Czwartego Lipca urządziłam przyjęcie w ogrodzie połączone z pieczeniem na grillu. Wychodziłam z siebie, żeby się wszystko udało, no i wtedy opaliłam sobie rzęsy.

— Nie rozumiem, co to ma wspólnego z tym, jaka byłaś dla własnych dzieci...

— Nie umiałam sobie poradzić. Nie wiedziałam, jak pogodzić zajmowanie się dziećmi z pracą zawodową, która miała im przecież zapewnić byt. Ciebie także to czeka, Elliotcie — tłumaczyła z wypiekami na twarzy.

— Ja temu sprostam — zapewnił zdecydowanym tonem.

— Zrób wszystko, by tak się stało, bo w przeciwnym razie... I jeszcze ci powiem, że nikt nas nigdy nie zapraszał. Wdowa z czworgiem dzieci nie jest mile widzianym gościem... A poza tym przypuszczam, że moje dzieci nie zachowywały się grzecznie. Stevie był niesforny i Angela też.

— Więc dlaczego nie starałaś się czytać im książ-



żek na głos w domu lub nie słuchałaś z nimi muzyki, takiej samej, jakiej przedtem słuchaliście ze Stephenem seniorem? Co stało na przeszkodzie, żebyście wspólnie oglądali filmy?

— Wiesz, dlaczego? — odparła Miranda, splatając dłonie. — Chyba się bałam, że to będzie dla mnie zbyt bolesne. Mówiąc szczerze, nie czułam się już taka jak dawniej i nie miałam ochoty wracać do tego, co przedtem robiłam. Wolałam się wymóc, że nie mam czasu, bo muszę pracować.

*Wdowa z czworgiem dzieci nie jest mile widzianym gościem* - te słowa Mirandy dały Elliottowi wiele do myślenia.

Gdy Rory usadowiła się obok matki i kręciła przy radiu stojącym przy łóżku, Laurze zebrało się na zwierzenia. Powiedziała córce, że dobrze wie, jak to jest, gdy chce się za wszelką cenę zdobyć popularność.

- Ja też taka byłam - wyznała. — Kiedy cho-

dziłam do szkoły, wszystkie dziewczyny wiązały sobie na szyi małe jedwabne chustki. Wielkością przypominały bandany. Owijałyśmy je sobie dookoła szyi i spinały klamerkami. Mnie się nigdy nie udało właściwie tego zrobić. Rano nieraz czterdzieści minut próbowałam, w końcu chustka robiła się brudna i wilgotna od moich dłoni i musiałam bez niej iść do szkoły. Oczywiście tam się od razu natykałam na Petty Di Castro, która miała chustkę zawiązaną dokładnie tak, jak pokazywano na wideo firmy JC Penney. Jeśli się u nich tę rzecz nabyło, można sobie było na ekranie ich telewizora obejrzeć instrukcję, jak ją fachowo upiąć.

Rory była z natury chętna do rozmowy, Laura więc mogła bez końca z nią gadać, i to o wszystkim. Dziewczynka zawsze wykazywała zainteresowanie tematem i wtrącała stosowne uwagi nawet wtedy, gdy Laura gubiła wątek.

— Chodzi o to — tłumaczyła córce — że za bardzo starałam się dorównać innym. Tak było aż do

chwili, kiedy zaczęłam uprawiać sport. Chciałabym, żebyś ty, Rory, nawet jeśli nie zostaniesz gimnastyczką robiła wszystko, żeby ani przez moment takich wygórowanych ambicji nie mieć.

Rory potakiwała z ożywieniem.

— Czy rozumiesz, o co mi chodzi? — upewniała się matka. — O to, że goniącą za popularnością osobę ktoś naprawdę popularny może do wielu rzeczy namówić. Taka historia mnie się właśnie przydarzyła. Spotkałam takie „popularne” dziewczyny, które nawet sznurówki w butach zawsze wiązały w taki sam węzeł. Były cztery i zawsze trzymały się razem. Namówiły mnie, żebym się z nimi wybrała w pewne miejsce, które się nazywało *Rat Prairie*, i stanęła na czatach. Pewnie nie wiesz, gdzie się ta „szczurza preria” znajduje, prawda? Przypuszczam, że już nie istnieje, i stoją tam teraz wielopiętrowe apartamentowce. Ale jej nazwa doskonale określa to, czym była. Otóż te moje cztery koleżanki przyszły ze swoimi chłopa-

kami i całowały się z nimi w wysokiej trawie. W pewnej chwili ktoś podłożył ogień i szczury zaczęły uciekać. Przyjechała straż pożarna i tylko mnie tam zastała. Zabrano mnie na komisariat. Dostałam ataku hysterii. Nic dziwnego, bo to była najstraszniejsza scena, jaką kiedykolwiek w życiu oglądałam: te pędzące szczury, Rory, wyglądały zupełnie tak jak w legendzie o „Szczurołapie z Hamelin”... Dlaczego ci tak beładnie opowiadam tę historię? — zastanawiała się Laura. — Pewnie dlatego, że z moją głową coś jest nie w porządku. Chociaż nie... — przyznała zrezygnowana — zawsze mówiłam w sposób chaotyczny. Nigdy nie potrafiłam trzymać się tematu. Elliott śmiał się ze mnie, że gubię wątek w trakcie mówienia i zaczynam jeszcze raz od początku.

„Ale może byłam taka dlatego, że już wtedy coś złego działo się w mojej głowie” - myślała.

— Posłuchaj mnie, Rory! - Laura zmobilizowała się, zebrała siły i, na wpół leżąc, objęła ramieniem

plecy córeczki. — Posłuchaj mnie uważnie! Pamiętaj, że nic, bez względu na to, jak ważne ci się w danym momencie wydaje, nie jest warte tego, by dopuścić się czynu, który w duchu oceniasz jako zły. A człowiek zawsze to jakoś czuje.

— Co czuje?

— Jak mówił ksiądz Delabue, trzeba się wsłuchać w nasz cichy wewnętrzny głos. Jeśli budzą się w tobie jakieś wątpliwości, to znaczy, że twoje prawdziwe „ja” wie lepiej, jak powinnaś postąpić. Zawsze słuchaj tego, co ono ci mówi.

— Nawet gdy mówi, żebym się bała? - zaryzykowała Rory.

Laura westchnęła. Wiedziała, że nie ma sensu próbować w ciągu tych paru minut, jakie jeszcze pozostały, przekazać córce całą encyklopedię matczynej wiedzy. Ale wszystko, czym dysponowała, ograniczało się do tych kilku minut. Nie mogła ochronić Rory przed jej własną, pełną dobrych chęci, lecz i obaw, osobowością, która przysparza-

la dziewczynce sporo kłopotów; Rory na przykład zapamiętała daty urodzin wszystkich dziewczyn w swojej klasie tylko po to, by z góry wiedzieć, na jakie przyjęcia urodzinowe nie zostanie zaproszona, i móc to w porę odreagować. Zadaniem matki było wesprzeć ją za pomocą wszystkich rodzicielskich, dobrze znanych i budzących nadzieję kłamstw.

— Te dziewczyny są po prostu o ciebie zazdrosne, kochanie — tłumaczyła. — Zobaczysz, kiedy będziecie starsze, wszystkie zechcą się z tobą przyjaźnić. — „A może one naprawdę są zazdrosne? — zastanawiała się po cichu. — Albo może Rory jest późno dojrzewającym dzieckiem, podobnie jak była nim przed laty Laura?”

Nie była w stanie zaszcześcić córce dobroci i zaufania w taki sposób, jak w niemowlęctwie podawała jej profilaktycznie działający antybiotyk leczący bóle uszu. Jedyne, co mogła Rory pozostawić, to wspomnienia. I oby jej to wystarczyło!

— Widzisz, dziecko - kontynuowała - w twojej sytuacji jest całkiem naturalne, że masz obawy. Po prostu przyznajesz się do własnych, prawdziwych uczuć.

Następnie Laura napomniała córkę, by pomyślała o tych wszystkich wypadkach, kiedy strach okazał się dla niej zwodniczy. Przywołała jej na pamięć owe chwile przed zawodami, gdy Rory płakała z obawy, że może upaść na równoważni i się skaleczyć lub — co dla niej byłoby jeszcze gorsze — zepsuć wyćwiczony układ. A potem, i tak się wielokrotnie zdarzało, wychodziła na równoważnię i robiła swoje, nie zważając na żadne lęki. Ćwiczenia zaczynała i kończyła perfekcyjnie.

— Czy powinnam zapisywać to, co mówisz? — spytała Laurę.

— Sama ci to wszystko zapisałam.

— Będiesz teraz naszym aniołem stróżem, mamo?

— Jeśli będę mogła... — Laurę to pytanie tak za-

skoczyło, że ledwo złapała oddech. — Oczywiście, że będę — dodała po chwili. — Posłuchaj, Rory, zdradzę ci pewną tajemnicę: Nawet gdy umrę, będziesz mogła w przyszłości zobaczyć to, co we mnie było najlepsze. Kiedy dojdiesz do czterdziestki - Rory patrzyła na nią rozszerzonymi oczami — wtedy spójrz na swoje dłonie, a... zobaczysz moje. Ty jesteś najbardziej do mnie podobna, z wyjątkiem włosów: twoje są piękne, rude, kręjące się. A teraz popatrz na swoje dłonie i zobacz moje, bo gdy dorośniesz, na pewno będą wyglądać identycznie.

— Boję się, że mogę mieć jakieś zaburzenia psychiczne i z ich powodu nie będę mogła wziąć udziału w zawodach o mistrzostwo okręgu... — z żalem stwierdziła Rory.

Laurze przemknęła ponura myśl, że jej matka zbyt szczerze rozmawiała z dziewczynkami w drodze z Natick do szpitala. Pomyślała też, że Miranda nie zrezygnuje ze swego wspaniałego drugiego



śniadania i jej, Laury, pogrzeb będzie musiał poczekać.

— A właśnie że weźmiesz udział w mistrzostwach okręgu! — stanowczym tonem oznajmiła córce. — Ludzie żyją nadal nawet wtedy, gdy dotykają ich straszliwe ciosy; często się okazuje, że po tych doznaniach stają się lepsi we wszystkim, czego się podejmują. Wiesz przecież, co mawiał ksiądz Delabue: „Kiedy masz smutek, złóż go w ofierze”. Tak właśnie należy postąpić: złożyć swoje cierpienie w ofierze.

— Panu Jezusowi?

— Nie. Swojej matce. - I z całej siły przytuliła dziecko do siebie. — Zawsze będę twoją matką Rory, i zawsze pozostanę częścią ciebie.

— Przestałam już wierzyć w świętego Mikołaja, mamu, więc czy on do mnie przyjdzie?

— Oczywiście, że przyjdzie. Dlaczego święty Mikołaj miałby ukarać ciebie za to, że twoja mama zachorowała?

— I na pewno będę musiała opuścić sporo lekcji w szkole — podsumowała dziewczynka. Buzię miała już suchą, ale nabrzmiała od płaczu.

— To prawda — zgodziła się Laura. — „Widać nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło” — dodała w duchu.

Elliott i Miranda siedzieli tak blisko naprzeciw siebie, że się niemal stykali kolanami, a dżinsy Elliotta zdawały się ocierać o ostry kant beżowych spodni Mirandy. Przechodząca obok nich wolontariuszka w różowym fartuchu podała Mirandzie czasopismo „Globe”. „Zaraz się pewnie zabierze do czytania” — pomyślał Elliott. Tymczasem z ust teściowej usłyszał:

— Będziesz musiał zadbać o to, by wasze dzieci utrzymywały kontakt z dziećmi Suzie i Angeli.

— A czemu ty nie możesz się o to zatroszczyć?! — krzyknął. — Jesteś przecież głową rodu i masz własny dom na przylądku Cod. Dawno już

trzeba było odgrodzić jakiś niewielki teren na brzegu i postawić tam kilka letnich domków dla gości. Czemu nie zrobić tego teraz ze względu na sytuację, w jakiej się znaleźliśmy? Dlaczego nie starasz się chronić naszej wielopokoleniowej rodziny?

„Gościnne domki? - zastanowił się. — Chyba lekko przesadziłem... Nie można za wiele wymagać”.

— Albo dlaczego nie starałaś się przynajmniej dodawać im otuchy ani wtedy przed laty, ani potem przez cały czas...? Dlaczego nie poweźmiesz decyzji, żeby czynić to teraz?

— Bo, widzisz, kiedy Stephen umarł, Suzie była nastolatką i te rzeczy jej nie interesowały.

— Nie mów! Suzie miała dziewięć lat, a więc tyle, ile teraz ma Rory. A Laura i Angie były całkiem małe, Angie nie wyszła wręcz z wieku niemowlęctwa. Przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale i mój ojciec i moja siostra też się wrednie zachowali wobec dziewczynek. Więc nie tylko tobie to się przy-

darzyło. O mój Boże! — przypomniał sobie nagle. — Nie zadzwoniłem ani do ojca, ani do siostry...

Spojrzał na zegarek. Czas szybko płynął. Nastął już ranek; w te dni, gdy dzieci chodziły do szkoły, jedli o tej porze śniadanie. Pielęgniarki witały się, życząc sobie dobrych i spokojnych świąt. Do Elliotta dotarło, że jego czas z Laurą powoli się kurczy i w jego życiu z nowym rokiem pańskim rozpocznie się nowy okres. Uświadomił sobie, że już nie zdaży powiedzieć Laurze, iż nigdy, nawet na przyjęciu, nie zapałał żądzą do innej kobiety; że zawsze czuł się niezmiernie szczęśliwy, mogąc rzuć okiem na drugi koniec pokoju i ujrzeć tam swoją małą niewinną czarodziejkę w jedynej wytwornej czarnej sukience, jaką miała; że pamięta, z jaką ufnością dłoń Laury w rękawiczce spoczywała w zagięciu jego łokcia; i jak surowo Laura instruowała go, że nie można się targować o cenę, gdy się kupuje rzeczy mające długo nam służyć, i że jedno pudełko cementu to za mało, by wy-

pełnić wszystkie pęknięcia na ścianie; i jaka była wściekła, ucząc się tańczyć tango przy taśmie wideo, że nie dała rady tego tańca jego nauczyć. Ach, Lauro... Lauro...

Elliott nie mógł jednak przewidzieć, i nie docierało to do niego przez długie dni, kiedy był zabiegany, załatwiając sprawy z pogrzebem, i gdy przyjaciele naznosili do domu mnóstwo różnego jedzenia, iż przyjdzie pora, że godziny będą się toczyły w zwolnionym tempie, a uciekające sekundy i minuty zostaną ujarzmione. Nie wiedział, że czas może zmienić swój charakter, a jego życie rodzinne z gwałtownego galopu przejdzie w ponury marsz. Sekundy przeciągną się w tygodnie, tygodnie w wieki i tak będzie przez wiele najbliższych miesięcy. Patrząc na kalendarz, zdziwi się, że ciągle jeszcze jest luty, a jego tragedia — ciężar, który zmuszony był wziąć na swoje barki i wszędzie ze sobą nosić — nie staje się mniej dotkliwa. I nie ma mowy o tym, by móc cokolwiek przyśpieszyć

lub się od tego ciężaru zdystansować. To on dyktował warunki i określał, jak długo mają obowiązywać.

Chociaż Elliott rozumiał, że trzeba unikać werutowania rodzinnych albumów, nie był w stanie powstrzymać przewracania kart w księdze znajdującej się w jego głowie. Była to księga straconych chwil, chwil, jakie nieopatrznie zaprzepaścił, wierząc, że będą się nieustannie powtarzać. Na przykład noce, gdy zmęczeni młodzi rodzice poprzestawali na poklepaniu się po plecach, zamiast paść sobie w objęcia. Odwracali się do siebie tyłem — tak, tak, tyłem! — i niemal natychmiast zasypiali w przekonaniu, graniczącym z absolutną pewnością, że każde z nich będzie miało następną szansę już nazajutrz albo w sobotę rano. Tymczasem rządzący nimi obojętny los zwinął te wszystkie szanse w byle jaką kulę i rzucił ją hen daleko, zbyt daleko, by Elliott mógł po nią sięgnąć...

Widząc, że Miranda porusza wargami, Elliott

zmusił się, by wrócić do terażniejszości i tego, co się działo w pokoju.

— Wybacz, Mirando, że nie uważałem, błądziłem gdzieś myślami — przepraszał. — Czy możesz mi powtórzyć, co przed chwilą powiedziałaś?

— Kochałam moje dzieci — wydukała niepewnym głosem. — Chcę, żebyś to wiedział: kochałam je. Ale obie z siostrą pochodzimy z rodziny, gdzie nikt się nad dziećmi nie rozczulał: rodzice nie obejmowali nas i nie całowali tylko dlatego, że się któraś znalazła pod ręką. Co innego mój mąż, Stephen senior. Jego rodzice nie szczędzili mu czułości ani pieśszczot. Zresztą podobnie postępowała twoja matka, Elliotcie.

Pomyślał przez chwilę o matce, o niedbałym geście, jakim mierzwiła mu włosy, i jej ulubionym zwyczaju masowania mu karku. Kiedyś okropnie go to denerwowało, a teraz za tym tęsknił.

— Nie wiem doprawdy, jak miałabym się zmienić — głośno zastanawiała się Miranda.

Elliott głęboko westchnął.

— Jeśli o mnie chodzi, to masz czas, Mirando, ale chyba wiesz, co sądzi Laura: że jej nie kochasz i nie jesteś z niej dumna. Uważa, że dumna jesteś z Angeli, a kochasz tylko Suzanne.

— To absurd! — krótko skwitowała jego słowa i zamyśliwszy się, zaplatała włosy Amelii.

— Wiem, że to straszne, co ci powiem, ale czy nie mogłabyś teraz, póki Laura jest jeszcze w stanie cię zrozumieć, wytłumaczyć jej, jak jest naprawdę? Zrób to dla własnego dobra... Ona naprawdę nie ma pojęcia, dlaczego jej siostry i brat tak się do siebie zbliżyli.

Odpowiedź, jakiej mu wtedy Miranda udzieliła, przypominała się Elliottowi po latach w dość szczególnej sytuacji. Gonił w holu Annie z taką wściekłością że wpadł na umieszczoną nad zsympem płytę gipsowo-kartonową. Niewiele brakowało, by złamał sobie nos; ślad, jaki mu po tym wypadku pozostał, był jeszcze długo widoczny.



A wszystko dlatego, że zabronił Annie wychodzenia z domu. Wtedy ona — odszczekując się — kazała mu zamknąć papę. Sprawa poszła o to, że Elliott przyłapał Annie, gdy o północy wypuściła Rory z domu, by się mogła w altanie spotkać z chłopcami.

Od tej pory minęło sporo czasu. Któregoś dnia Elliott zwierzył się Mirandzie, że podczas ich pamiętnej rozmowy w szpitalu nie zdawał sobie sprawy, jak ciężkie czekają go chwile. Nie wiedział, że jego przyjaźnie będą się osłabiały, gasły, aż się w końcu całkiem wykruszą. Siedzieli przy kawie, którą nauczył się parzyć i doszedł w tym nawet do pewnej perfekcji. Speszony, przeproszał Mirandę za ówczesne mądrzenie się. Za wyrażoną wtedy histeryczną i arogancką sugestią, żeby ogrodziła teren wokół swojej willi i postawiła tam domki dla rodziny. Miranda mu oznajmiła w sposób powściągliwy i pełen wyrozumiałości, że pomysł na przybudówkę, o którą po śmierci Laury posze-

rzyła swoją małą wille, nie był dziełem przypadku, ale zrodził się z jego sugestii. Przyznała też Elliotowi, że mimo wielu popełnionych przez niego błędów udało mu się osiągnąć coś, na co ona się nigdy nie zdobyła: zjednał sobie córki oraz sprawił, że się do siebie zbliżyły i nie tylko darzyły się wzajemną miłością ale także ciągle ją okazywały. Elliott przypomniał sobie, co Miranda - broniąc się przed jego atakami — wówczas mu powiedziała.

— Chyba się bałam — oświadczyła — żeby się moje dzieci ode mnie nie odwróciły, bo zawsze bardziej lubiły ojca... A poza tym one miały siebie nawzajem, i tak właśnie być powinno. Tak ma być, Elliotcie: dzieci przeciwko nam.

To jakże życiowe stwierdzenie okazało się najlepszą radą jaką ktokolwiek i kiedykolwiek mu udzielił. Dzięki temu mógł także wyjść obronna ręką z impasu, który przeżył, gdy obie: Annie i Rorry, skonstatowały, iż wolałyby, aby to on umarł, a nie ich matka...

Ale tamtego tragicznego wieczoru, gdy ani Miranda, ani Elliott nie mogli się wycofać ze spotkania, z ulgą stwierdzili, że otwiera się szansa na zmianę tematu rozmowy; usłyszeli czyjeś szybkie kroki i w drzwiach pojawiła się Angela. Była zmarznięta; szal i płaszcz pokrywała gruba warstwa mokrego śniegu. Przebiegła obok pokoju ciszy, a potem po kolei zaglądała do każdej sali, dopóki nie znalazła Laury. Cobb, jej narzeczony, zatrzymał się przed Elliottem i Mirandą i wzruszając ramionami, oświadczył:

— Ledwo nam się udało dotrzeć do Logan. Lotnisko jest już zamknięte. Mieliśmy samolot o szóstej rano.

W rękę trzymał ogromną zabawkę: wypchanego szkockiego terriera wielkości żywego psa, który na szyi miał kokardę w szkocką kratę. Amelia podniosła się z podłogi, wzięła od Cobba zabawkę i włożyła sobie pod pachę. Mała przy tym minę osoby znającej się na rzeczy, jakby rozu-

miała, że przyjmowanie hołdów jest teraz jej obowiązkiem.

Kiedy Angela z płaczem usnęła w twardym skórzanym fotelu przy łóżku siostry, Laura uznała, że ma prawo poczuć się zmęczoną. Nie mogła sobie pozwolić na pogrążenie się we śnie; leżała na plecach, otulona kocami, zadowolona ze swojej puszystej, miłej lizeski. To, co ją przerażało, to uczucie chłodu, jakiego doznawała nawet przy dotykaniu ciała. Gdy się już wygodnie ułożyła, Elliott przyniósł jej Amelię. Mała jednak krzyczała i chowała twarz, wtulając się w sweter ojca.

— Ona o ciebie pytała, naprawdę... — zapewniał Elliott. W sztucznym świetle jego cera przybrała kolor lawendowy.

- Nie przejmuj się, Ell, mała po prostu się mnie boi - zrezygnowanym głosem powiedziała Laura. - Niech tylko tu siedzi, to może nie odczuje otaczającego mnie smutku.

— Nie, musisz wziąć ją w ramiona, objąć i poczuć jej dotyk! — Elliott rozpaczliwie pragnął oszczędzić przykrości i córeczce, i żonie.

— Przecież ani ja, ani ona nie będziemy tego pamiętały — stwierdziła Laura, co zabrzmiało tak, jakby była bez serca. W tym momencie do pokoju weszła matka i brat Laury. Stephen miał na sobie sweter i kapelusz a la Sherlock Holmes, w dodatku rozpruty. Był przemoknięty do nitki. Angela, która się zbudziła w chwili jego wejścia, zawołała brata i wychyliwszy się z fotela, objęła go za kolana. Stephen bez cienia emocji patrzył jedynie w oczy Laury.

— Zepsuł mi się samochód - wyjaśnił.

— Akurat dziś musiało się to zdarzyć — Laura zauważyła z goryczą.

— Czy chciałbyś porozmawiać sam na sam z chorą? - Miranda zwróciła się do syna.

— Tak, przez chwilę — odparł i ująwszy w dłoń twarz siostry, powiedział do niej czule: — Witaj, Sissy!

- Chodź, Angelo! Może umyjesz sobie twarz — zaproponowała Miranda.

— Nie mam zamiaru stąd wychodzić! — zaprotestowała Angela. Robiła wrażenie już rozbudzonej i w nastroju do płaczu.

— Chodź, chodź! Napijesz się wody i umyjesz się — namawiała ją Miranda. Angela wstała - spod kołnierza jej swetra wciąż zwisał szalik z resztkami zlodowaciałego śniegu - i wyszła z matką. W drzwiach się jeszcze obejrzała i jakby zreflektowała; wzięła na ręce Amelię i chwyciwszy dłoń Rory, oznajmiła:

— Idziemy, Rory! A jak tam twoje kolano? Ściągnę wciąż nadwerężone?

- Nie sądzę, już nawet podnosiłam hantle... - Wystawiła nogę, pokazując ciotce guzkowate kolano i szczupłe, muskularne udo.

- A jednak ci je zbadam - obiecała Angela.

Obserwując tę scenę, Laura miała przedsmak tego, jak bez niej będzie się toczyło życie jej rodzi-

ny. Poczwała się tak, jakby ją ktoś nożyczkami wyciął ze wspólnej fotografii. Wprawdzie na zawsze pozostanie po niej puste miejsce, ale oni będą żyli; będą wymieniali uśmiechy i ostrzeżenia, zachęty i czułe słówka. Ot, normalne życie...

— Wyjmij kartę kredytową z mojej torebki, Stevie — poprosiła.

Zrobił to, nie pytając o powód.

— Ell na pewno zapomni, gdzie schowałam prezenty, chociaż wszystko mu zapisałam na kartce. Chcę, byś wiedział, że są w szafce za bojlerem, chociaż ty także możesz zapomnieć; jesteście bardzo do siebie podobni. Kocham Ella właśnie dlatego, że tak bardzo mi ciebie przypomina, choć gdzie tego podobieństwa nie zauważają.

Oczy Stephena wypełniły się łzami; Laura przypatrywała mu się ze spokojem i współczuciem.

— Najpierw mnie pocałuj, a potem idź i kup te rzeczy, które teraz wymienię, a więc: dla Annie solidną złotą biżuterię, dla Rory hantle i przenośny

przyrząd do podnoszenia się na drażku. A ponadto dla obu luksusowe mydełka; mają być delikatne i tłuste. Dostaniesz je w stoiskach dla nastolatek i tam, gdzie reklamują nowości. Amelii kup jedno z tych małych autek, w których dziecko może zasiąść za kierownicą i które poruszają się własnym napędem. A także lalki bliźniaczki, które wyglądają jak niemowlęta i proszą o lody...

— Poczekaj! — wszedł jej w słowo. — Masz pióro? — I starannie zapisał każdy wymieniony przez nią przedmiot.

— Wszystkie prezenty rozłóż pod choinką, ale przedtem zdejmij metki z ceną. Specjalnie to podkreślam, żebyś o tym pamiętał. Bardzo cię o to proszę... I jeszcze coś... Z całego serca cię proszę, żebyś się ożenił. Zrób to, Stephen! Ja nie będę mogła już się tobą zajmować. I nie będziesz mógł dzwonić do mnie, by powiedzieć, że właśnie się kochałeś ze śpiewaczką występującą z Pat Bena-



tar\*. Znajdź sobie jakąś dobrą kobietę i się ożeń!  
Chciałabym też, żebyś się zaopiekował Elliottem  
i Anną a raczej Annie, bo ona nosi się z zamiarem  
zmiany imienia.

— Przecież Annie to jej obecne imię...? — zdziwił  
się Stephen. Jego niesforne włosy skręcały się od  
wilgoci w błyszczące kędziory. Wyglądał, jakby się  
czuł winny, że nie zwraca uwagi na chorobę Laury.

— Nie, bo zmienia imię na Annie Laurie —  
oznajmiła z większą irytacją w głosie, niż tego  
chciała.

Stephen ukrył twarz w dłoniach. Przez chwilę  
Laura myślała, że się na nią gniewa. Ale to wzru-  
szenie go ogarnęło i było tak potężne, że zdawało  
się przekraczać jego wytrzymałość. Laura pomyś-  
lała, że spełnianie poleceń siostry jest gorsze od  
jej umierania. Nigdy nie doświadczyła tak wielkiej  
rozpaczy. Są ludzie - wiedziała - którzy nie wiado-

\* Pat Benatar - znana amerykańska śpiewaczka, której praw-  
dziwe nazwisko brzmi Patricia Andrzejewski.

mo po co się zastanawiają, jak by to było, gdyby się znaleźli na własnym pogrzebie. Jeśli o nią chodzi, jest przekonana, że nie byłaby w stanie przeżyć wzruszenia związanego z własnym pogrzebem. Zamierzała powiedzieć Elliottowi, że chciałyby, aby podczas mszy pogrzebowej organista zagrał jej ulubioną kolędę *Cicha noc, święta noc*. Wciąż jednak nie czuła się na siłach, by poruszyć z mężem kwestię dotyczącą najbliższych dni.

- Dopatrzę - obiecał brat — by Annie sprawy związane ze zmianą imienia załatwiła jak należy.

— Elliott nie powinien mieć nic przeciw temu, a nawet gdyby, to będzie wtedy w nastroju skłonym do wybaczenia.

- Sis, czy zastanę cię jeszcze... kiedy wrócę z zakupów?

— Nie wiem. Powiedziano mi, że mam jakieś osiem do dwunastu godzin. Przez osiem bez przerwy mówiłam. Nie sądzę, żeby to o wiele dłużej trwało.

— To znaczy, że kiedy będziesz umierała, ja mógłbym przebywać w tym cholernym sklepie z zabawkami...

— A czy naprawdę wolałbyś być tu, Stevie? — spytała. Nagle coś w jej głowie zafalowało i podrzuciło ją do góry, jakby pod łóżkiem nastąpiło trzęsienie ziemi. Szarpnęło nią i nie miała się czego uchwycić...

Zobaczyła Angelę, swoją księżniczkę z bajki, jak klęczy nad jakąś wodą w sukni ślubnej, rozłożonej na brzegu niby kwiat nenufaru. Trzy córki Laury w identycznych sukniach z różowego jedwabiu otaczały ją jak płatki kwiatów. Stephen we fraku, z wpatrzoną w niego kobietą tak drobną ze przypominała Wietnamkę czy Tajlandkę w pięknej zielonoszarej sukni ze skosu. Ujrzała też swoją matkę, jak czyta Amelii bajkę z książki oprawnej w skórę. Dziewczynka była już nieco większa i miała włosy jasnoblonde. Laura nie mogła dostrzec tytułu książki, ale zauważyła, że twarz Mi-

randy jest niezwykle ożywiona. Co więcej — matka, która dawniej unikała szerokich uśmiechów i marszczenia brwi, teraz o to nie dbała: robiła miny mające naśladować zachowanie okrutnej czarownicy i przerażonego dziecka. Laura spostrzegła swoją siostrę, Suzie, o głowę niższą od jej wysokiego i chudego syna Aarona. Chłopiec miał na sobie strój marynarski, jakby brał udział w żeglarskich regatach. Pojawiło się więcej wody: za nimi, na podwórzu domu, który wyglądał jak letni domek matki, ale z dużym gankiem i osobnym garażem, skrzył się w słońcu ocean. Widziała też Elliotta, jak od niej odchodzi... W końcu odnalazła się, z trudem łapiąc powietrze, w swoim szpitalnym łóżku. Obok siedzieli Stephen i Amelia.

- Elliott nie mógł na to patrzeć - tłumaczył Stephen.

— Przecież już kilka godzin temu prosiłam cię, żebyś poszedł — powiedziała z wyrzutem, kierując wzrok na Stephena.

— Żebym co? — spytał Stephen. — Nie rozumiem.

— Przecież cię prosiłam, żebyś poszedł po zakupy — powtórzyła zirytowana.

— Nie wiem, o jakiej szalupie mówisz, Sis. Nie jesteśmy na wybrzeżu. Leżysz w szpitalu. Nie pamiętasz? Miałaś... atak, jakieś pięć minut temu.

— Czy mała to widziała? — indagowała Stephena. Amelia wpatrywała się w Laurę spod długich, zakręconych rzęs.

— Mamusię boli brzusek — powiedziała.

— Tak, dziecinko — odparła Laura. Otworzyła ramiona, a Amelia się w nie wtuliła i chwyciwszy matkę za ucho, od razu zasnęła.

— Trudno zrozumieć, co Laura mówi — Stephen skarżył się Elliottowi. „Dlaczego nie wyszedł — zastanawiał się. — Jeszcze przez to dzieci nie będą miały świąt jak należy”.

— Która godzina? — spytała Laura.

— Suzie wkrótce tu będzie - odpowiedział jej

Elliott. — Jest już w drodze z lotniska, z Providence jedzie samochodem.

Laura patrzyła w okno. Nie wiedziała, czy jej się tak wydaje, czy niebo staje się naprawdę coraz ciemniejsze. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale wiedziała, że to wigilijny wieczór. Dla Laury Boże Narodzenie oznaczało oczekiwanie, po którym miało przyjść spełnienie; kojarzyło jej się z tradycyjnym rytuałem i przysmakami. Z elegancjami nakryciami i dobrym jedzeniem. Pasterka o północy i przystąpienie do komunii świętej.

— W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego - modlił się ksiądz Delabue.

Nie, to nie był ksiądz Delabue, ale jakiś inny, którego nie mogła rozpoznać. Był niewielkiej postury, a włosy miał brązowe, miejscami przyprószone siwizną.

— Cóрко — mówił — dziecię boże, przez chrzest oczyszczona z grzechu pierworodnego, udzielam ci odpustu zupełnego, masz otwartą drogę do nieba.

— Boję się, że Laura może się zadławić opłatkami — ostrzegł doktor Campanile. Laurze hostia wydawała się twarda i trudna do przełknięcia.

— Annie mi mówiła, że kiedy była umierająca, omal naprawdę nie umarła — opowiadała Rory.

— A co na to ksiądz?

— Wystarczy namaszczenie świętymi olejami... Oleje wystarczą... tak powiedział ksiądz.

— Annie widziała mężczyznę w czapce kolejarza i niebieskich dżinsach w paski — relacjonowała Rory. — Słyszysz mnie, mamó? A pod czapką ten kolejarz miał rude włosy.

— Czyżby? — dopytywała się Laura. — Jesteś tego pewna?

— Ona już tu jest - wtrącił się Elliott. - Rozmawiałaś z Suzie.

— Stephen?

— Suzie już przyjechała, Lauro. Angie też tu jest.

— Od Providence prowadziłam samochód - tłumaczyła Suzie i Laura zobaczyła bladą twarz

Aarona, jego nienaturalnie dojrzałą, drobną twarzą. Stał w drzwiach i machał do niej niepewnie wzniesioną dłonią. Laura też podniosła dłoń i palcami dała mu znak „okej”; przez twarz Aarona przebiegł krótki krzywy uśmiech.

— ...może byłam złą matką i może nie dość was kochałam, ale to dlatego, że się bałam o nasz byt. Musiałam dzień i noc pracować, aby was czworo utrzymać — wyznawała Miranda. — Ale ja cię naprawdę kocham i zawsze kochałam. Jestem z ciebie dumna, Laurie, bo jesteś taką matką jaką ja nigdy nie byłam.

- Wiem... — słabym głosem wyszeptała Laura.

- Nie słyszę, co mówisz. Proszę cię, nie zaprzeczaj! — błagała córkę Miranda.

— Laurie! Laurie! — wołała Angie. Laura czuła, że nią szarpie i trzymając za ramię, zanurza pod wodę. Próbowwała strącić dłoń Angeli, oderwać mocne palce siostry. W końcu wydostała się na powierzchnię i gwałtownie łapała powietrze.



— Wkrótce ją podłączymy do respiratora — powiedział doktor Campanile.

Elliott wydał się Laurze mały i miał ciemne koła pod oczami. Stał w kącie pokoju i najpierw przecząco potrząsał głową, a potem smutno potakiwał.

— Nigdy nie mieliśmy dość czasu, by porozmawiać o takich rzeczach, jak na przykład poezja. Tyle było ważnych spraw, które trzeba było omówić... Jeśli chodzi o ciebie... odczuwałem wieczny niedosyt — żalił się.

Laura ruchem głowy zaprzeczyła.

— Ależ, Elliotcie, przez czternaście lat codziennie mówiliśmy o ważnych sprawach!

— Tak mi się wydaje, bo wolałbym jeszcze bardziej Amelii nie przerażać — tłumaczył się. — Będzie mnóstwo czasu na łyzy... Mówiłaś coś o strachu? Nie zrozumiałem, co chciałaś powiedzieć.

Gdy Stephen pochylił się nad nią, bezbłędnie go rozpoznała po zapachu.

— Wszystko załatwiłem — poinformował sio-

strę. — Cieszę się, że wytrzymałaś... Prezenty położyłem pod choinką. Kocham cię, Sis. Kocham cię bardziej niż swoje życie. Niech Bóg miłosierny...

— Boże, zmiłuj się nad duszą Laury MacDermott Banner i obdarz ją swoją mocą — modlił się ksiądz Delabue. Tym razem to na pewno był on. Laurze się zdawało, że leży na łożu Kleopatry wyściełanym srebrem i różami. U stóp widziała matkę: stała w czarnej mantyli, na nogach miała buty na bardzo wysokich obcasach; wyglądała jak podstarzała Jackie Kennedy z obciętymi na pazia czarnymi włosami o fioletowym odcieniu.

— Nie! — krzyknęła Amelia. - Mama otworzyła oko!

„A więc wciąż jeszcze jestem w szpitalu” - myślała Laura. Amelia zbudziła się w jej ramionach. Czy Amelia naprawdę leżała obok niej? Sięgnęła po nią ale jej ramiona żadne dotyku dziecka objęły tylko poduszkę. Anioły śpiewały: *Adeste fideles. Venite adoramus* i *W dzień Bożego Narodzenia...*

— To jest chór pielęgniarek; rzeczywiście śpiewają jak anioły — wyjaśnił Laurze doktor Campanile, a ona nie zdawała sobie sprawy, że go o to spytała. - Dzień Bożego Narodzenia to najsmutniejszy dzień w mojej pracy — mówił dalej doktor. — A ten jest najsmutniejszy ze wszystkich, jakie tu spędziłem. Masz śliczne córeczki, Lauro. Ta rudowłosa nazywa się Aurora, czy tak?

— Tak, doktorze, i dziękuję... — odparła. - Chcieliśmy, żeby imiona dziewczynek do siebie pasowały, więc wszystkie zaczynają się na literę A. Teraz wydaje mi się głupie, że przykładaliśmy jakąś wagę do tego, żeby tak właśnie było...

— Ta mała jest niezwykle mądrym dzieckiem, naprawdę - lekarz chwalił Rory. - Nie wiem, czy to jej utrudni, czy ułatwi życie, ale myślę, że wszystkie twoje córeczki, Lauro, doskonale dadzą sobie radę. Mają twoją duszę.

— Nie wiem, jak będzie — wydukała Laura — ale jestem gotowa.

— Czy możesz widzieć?

— Niezbyt dobrze.

— Masz jakieś bóle?

— Nie. Czy są tu jeszcze moje dziewczynki?

— Elliott zabrał tę malutką, ale była tu Rory i wspominała o jakimś kolejarzu. — Laura poczuła, że ktoś podniósł jej dłoń, przyłożył do niej palec i bada nierówne tętno. — Za chwilę wprowadzimy tubę, która pomoże ci oddychać, żebyś nie musiała tak ciężko pracować.

— Ależ tak... — powiedziała nagle Laura, próbując usiąść w łóżku. — Ten człowiek, którego Annie widziała, to mój dziadek. Był inżynierem na kolei. Zginął w pożarze. Człowiek z rudymi włosami — to on. Nigdy nie mogliśmy się domyślić, skąd u Rory rudawe włosy. Choć słabo go znałam, teraz sobie przypominam: był taki dobry...

— Może go tam spotkasz — doktor nawiązał do jej wspomnień - i poznasz: w ręce będzie trzymał latarnię.

Laura chciała się uśmiechnąć, bo rozśmieszyła ją ta sentymentalna uwaga doktora, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa. Wskazała na nie, a potem na swoją pierś, odsunęła od siebie poduszki; miotała się, zdawała się tonać, pograżać... Pielęgniarka i lekarz rozwarli jej zęby i Laura, jak grzeszna dziewczynka, posłusznie przełknęła to, co jej podano. Skurcz w gardle ustąpił... Próbowwała rozpoznać twarze przez jarzące się światło niesionych świec. Zmrużyła oczy. Dojrzała Elliotta. W kieszeniach koszuli miał jej notatki; kieszenie marynarki też były nimi wypchane. Dotknął wargami jej brwi.

- Chyba tego nie wytrzymam — szepnął. — Lauro, moja Lauro! Nie!

Palcem postukała go po rękę. To już nie było jej zmartwienie. Nie teraz. W tej chwili musiała pracować nad uczynieniem następnego kroku.

— Myślę, że możecie tu wszyscy przyjść! — obwieścił doktor Campanile. Laura bardziej czuła, niż widziała, jak się nad nią pochylają pomagając jej

wznieść się nad kopulasty dach szpitala, by mogła sięgnąć gwiazd i się nimi przystroić. Jeszcze długo potem, gdy doktor Campanile ogłosił dokładny czas jej odejścia, słyszała chór pielęgniarek śpiewających kolędę *Cicha noc, święta noc...*

Pewnego dnia w lipcu, kiedy z przeraźliwym zgrzytem zepsuł się bojler do grzania wody i Elliott gmerał w nim, szukając przyczyn uszkodzenia, w małym schowku koło łazienki na parterze natrafił na stos opakowanych i opatrzonych imionami prezentów gwiazdkowych.

W paczce dla niego znalazł się sweter i podkoszulek z nadrukiem zdjęcia dziewczynek, fikających obok Elliotta koziołki na piasku. Fotografia pochodziła z czasu pobytu całej rodziny na przyładku Cod. Wśród prezentów był też kupon na płytę CD-ROM do zrealizowania w sklepie muzycznym.

Po krótkim wahaniu Elliott zawołał dziewczyn-

ki i rozdał im pudła z prezentami. Annie od razu chciała *zabrać* paczkę do swego pokoju, ale Elliott zażądał, by została i usiadła razem z siostrami.

- No tak, ceremonii musi stać się zadość — sarkauła. — Zapomniałam już, jak ważne jest w tym domu celebrowanie.

Obracała w palcach książki i kaszmirowy sweter, którym się kiedyś przesadnie zachwycała, widząc go na sklepowej wystawie. Teraz, dotykając swetra, oświadczyła, że go nie włoży, bo będzie ją drapał w skórę; jeśli Elliott chce, może go oddać na cele dobroczynne. Powiedziała też, że jest zbyt gorąco, żeby go przymierzyć, bo na samą myśl o tym robi jej się słabo. Natomiast wyraźnie przypadła jej do gustu pozytywka z płytami perforowanymi, grająca klasyczną muzykę. Szczególnie jej się spodobała ozdobna intarsja na wieczku pozytywki przedstawiająca szkocką różę.

Rory ostatnio bardzo wyrosła i zarówno wymiślny gimnastyczny trykot, jak i dres okazały się

już na nią za małe. Ale wśród prezentów znalazła medalion, który Elliott uznał za niezwykle dowód zdolności przewidywania Laury. W medalionie bowiem umieściła pukiel włosów swoich i Elliotta, a pośrodku jeden lok niemowlęcych włosów Rory, przypominający kłębek delikatnych jasnych nitek. Rory najbardziej się ucieszyła z flakonu perfum, będących ulubioną kompozycją zapachową matki. Oszczędnie ich używała, by na długo jej starczyły.

Nawet kiedy po latach zatrudniania się w charakterze babysitterki mogła za własne pieniądze kupić sobie wiele butelek takich perfum, nadal korzystała z tamtych, ofiarowanych jej przez matkę: co noc jedną kroplą nasyciała zapachem swoją poduszkę. A ilekroć brała udział w zawodach gimnastycznych, wcierała jedną kropelkę maminych perfum w ochraniacze przegubów. Co prawda nie po roku, ale po dwóch latach od śmierci Laury zdobyła w ćwiczeniach na równoważni pierwsze miej-



sce w zawodach o mistrzostwo okręgu. Trzeciego zaś roku od śmierci matki uzyskała trzecie miejsce na mistrzostwach kraju. Rory pozostała drobna i nawet gdy dorosła, jej wzrost nie przekroczył jednego metra i pięćdziesięciu pięciu centymetrów.

Amelia po otwarciu paczki przestraszyła się lalek. Były to bowiem lalki wyrabiane przez amiszów\*, u których Laura regularnie je zamawiała i otrzymywała pocztą. Zgromadziła całą rodzinę tych lalek, odznaczały się one tym, że miały oczy, ale pozbawione były ust i nosów. Amelię bardziej ucieszył komplet kolorowych ołówków, kredek i farb. Na pudełku z tymi przyborami Laura umieściła inicjały małej i Amelia potrafiła je już przeczytać. Odkąd otrzymała ten artystyczny prezent, codziennie coś w swoim szkicowniku kreśliła. Po jakimś czasie pokazała wykonany przez

\* Amisze - sekta protestancka działająca w Ameryce od XVIII wieku, głównie w Pensylwanii. Nie posługują się nowoczesnymi maszynami ani samochodami. Ubierają się tak jak przodkowie.

siebie rysunek nauczycielce w przedszkolu i ta zdumiała się trafnością szczegółów obrazu i jego perspektywicznym ujęciem.

Październik zbliżał się ku końcowi i pewnego dnia Elliott szukał zapalek, by po raz pierwszy tej jesieni rozpałić ogień na kominku. Właściwie było na to za wcześnie, ale dziewczynki się uparły, że chcą oglądać halloweenowe filmy przy palącym się kominku. Elliott otworzył szafkę nocną, w której Laura trzymała okulary i przybory do manikiuru. Oczywiście, rzeczy tych już nie było, dawno temu bowiem podarował je przyjaciółkom żony razem z większością jej ubrań. Chętnie poszukałby zapalek w biurku Laury, bo pamiętał, że gromadziła tam całą kolekcję takich, które dla reklamy rozdawano w restauracjach. Trzymała je na wypadek, gdyby trzeba było zapalić piecyk gazowy albo świece na urodzinowym torcie. Ale biurko Laury też nie było: zabrała je Suzanne, która się uparła, że jeszcze tego samego dnia po pogrzebie prze-

wiezie mebel do swego domu w San Diego. Po biurku został brzydki ślad na ścianie, co zmusiło Elliotta do odmalowania całego pokoju. W szufladzie szafki nocnej także nic nie znalazł. W niższej, krytej boazerią przegródce, do której nigdy nie zaglądał, była książka; starannie zaznaczono w niej pewne miejsce czystym patyczkiem po lodach. Obok książki leżał prezent dla niego od Laury: srebrne pudełko i karnet.

W pudełku znajdował się elegancki zegarek „Belle Temps”. Na jego tarczy widniały dwa kółka: jedno ze wskazówkami nastawionymi dokładnie na czas bostoński, a drugie na czas o kilka godzin późniejszy. Elliott otworzył karnet i przeczytał parę linijek. Rozpoznał w nich cytaty z lektury przerabianej na którymś roku w college’u. Chodziło o Elizabeth Barrett\* i jej ogromną miłość do

\* Elizabeth Barrett Browning (1806-1861) - poetka angielska, autorka m.in. słynnych *Sonetów z portugalskiego*. Jej romantyczna miłość do męża stała się tematem książki i sztuki teatralnej.

męża. Dopisek Laury brzmiał: „Zgadnij, która jest teraz godzina w Paryżu?” Pod nim narysowała serce, a w jego środku napisała swoje imię.

Kiedy trzy lata później Elliott założył fundusze powiernicze, mające pokryć koszty wykształcenia swoich trzech córek, i spłacił bankowi studencki kredyt Angeli, okazało się, że ma nie tylko okazałe lokaty, ale i spory dochód. Nigdy się nie spodziewał, że w średni wiek wejdzie wolny od finansowych kłopotów. Po raz pierwszy w życiu mógł teraz bez zastrzeżeń cieszyć się wysokością dawno nabytej polisy ubezpieczeniowej, choć wtedy wydawała mu się droga i raczej bezużyteczna. Podobnie myślał o męce, jaką było prowadzenie hurtowni, skoro w zamian otrzymał udziały w zysku.

Obecnie mógł sobie śmiało pozwolić na zabranie dziewczynek do Paryża.

W ostatniej chwili przed wejściem do autobusu mającego zawieźć ich na lotnisko, Elliott coś sobie

przypomniał: zatrzymał taksówkę i szybko wrócił do domu. Tam sięgnął po stojący na górnej półce w szafie ceramiczny pojemnik pomalowany w pomarańczowe róże. Był to prezent ślubny, tak brzydki, iż trzymali go tylko dlatego, żeby móc się z niego pośmiać. Teraz wydobył z naczynia garść popiołu w kolorze ołowiu i o konsystencji doniczkowej ziemi i wsypał go do plastikowego woreczka.

Drugiego dnia pobytu w Paryżu wybrał się z córkami na wieżę Eiffla.

— Czy nie mają tu windy? — spytała go zuchwała sześciolatnia Amelia — bo ja nie mam ochoty się na to wspinać!

Annie zgrywała się na ofiarę, którą zmuszono do zwiedzania zabytków w gronie obcych ludzi.

— Tatusiu — przyciszonym głosem zwróciła się do ojca zawsze logicznie myśląca Rory. — Popatrz, jaka tu długa kolejka: sięga aż do następnej przecznicy... a ja umieram z głodu... Czy nie moglibyśmy

przyjść tu innym razem? Przecież jeszcze jakiś czas będziemy w Paryżu!

— A co by było, gdybyśmy się wybrali tutaj... na święty nigdy? - sugerowała Annie. — Najlepiej wcale tu nie wracajmy! Wejść na wieżę Eiffla... ach, jakie to oryginalne! — kpiła.

— Słuchaj, Anno... — zaczął Elliott.

— Annie! — poprawiła go aroganckim tonem. — Miło mi pana poznać. Jestem pańską córką i jestem też — pan wybaczy — jedyną, która jeszcze pamięta o matce. Obawiam się jednak, że ten wyraz przywiązania do dawno już zapomnianej miłości ojca nie jest obecnie nikomu potrzebny.

— To nieprawda! — krzyknęła Rory. — Ja cały czas myślę o mamie.

— Czyżby? Ileż to sobót, panno wielbicielko Cathy Rigby, musiałam przesiedzieć na twardej ławce i wysłuchiwać po raz enty *Eye of the Tiger*, podczas gdy gromada małych anorektyczek ćwiczyła na parkiecie?

— Ach, ty... ty... — Rory przezornie zerknęła na Amelię — ty gówniaro! Myślisz pewnie, że jako najstarsza kochałaś ją najbardziej?

— Nie! Uważam po prostu, że tylko ja ją znałam, i nie sądzę, by któraś z was mogła to o sobie powiedzieć.

— Zamknijcie się! — krzyknął Elliott. Okropnie się zawstydził, bo zobaczył, że jacyś starsi państwo aż się wzdrygnęli i chwycili za ręce, słysząc kłótnię jego córek. - Ty, Annie, zostań na dole i porozmawiaj przez telefon komórkowy z tymi wrednymi bandziorami, z którymi się przyjaźnisz. — Annie prychnęła ze złością. — My jednak, to znaczy Rory, Amelia i ja, wejdziemy na wieżę. I wybacz mi, jeśli nie starczyło mi serca, by wspominać mamę każdego dnia po jej śmierci. Stało się tak nie dlatego, że nie odczuwam jej braku, ale właśnie dlatego, że potwornie mi jej brakuje... Być może też nie miałem czasu, by co dzień opowiadać ci o niej; częściowo sama się do tego przyczyniłaś. Robisz

bowiem wszystko, co możesz, by zamienić moje życie w nieustającą walkę o trzymanie cię z dala od poprawczaka.

— Nie obwiniaj mnie, bo właśnie ty nie mogłeś się wprost doczekać, żeby przemalować waszą sypialnię!

— Twoja matka i ja — mówił z oburzeniem Elliott — stanowiliśmy jedno z najlepszych małżeństw, jakie znałem, Annie. Mam nadzieję, że sama też będziesz miała tyle szczęścia, by się kiedyś w tak dobranym stadle znaleźć. — Powiedziawszy to, wziął dwie młodsze dziewczynki za ręce i zajął miejsce w kolejce. Patrząc na zachodzące słońce, pomyślał, że nie wolno mu tracić nadziei, iż misja, z jaką tu przybył, nie zostanie opóźniona przez awanturowanie się Annie. — Uważaj! — zawołał za nią — żeby cię nie porwano, gdy my będziemy na górze.

Czekając na wejście, Elliott usiłował odzyskać spokój i przywrócić normalny oddech. Próbował



też przeczytać dziewczynkom z przewodnika historię wieży Eiffla i dał im po kęsie czekolady z jedynego batona, jaki wziął ze sobą. Tymczasem Annie wykonała wymyślną pantomimę, oddalając się od nich specjalnie zwolnionym krokiem. Potem zatrzymała się przy obrotowym kiosku z widokówkami i posmarowała wargi błyszczkiem. Cały czas zerkąta na Elliotta, chcąc się upewnić, czy zauważył, z jaką obojętnością ona go traktuje. W końcu, westchnąwszy głęboko, krzyżując ramiona i patrząc w przeciwną stronę, dołączyła do nich w kolejce, ale stanęła parę metrów dalej.

Wreszcie Elliott z córkami dotarł do szczytu tej wymyślnej ażurowej wieży. Nie zdążył jednak wyjąć aparatu fotograficznego, bo dosłownie wpadł na kobietę, która całą uwagę skupiła na przyciskaniu do siebie krótkiej spódniczki, słomianego kapelusza i dużej podróżnej torby.

- Niech pan uważa. *S'il vous plaît!* — krzyknęła. - Przecież omal mnie pan nie przewrócił.

— Tu są mocne ogrodzenia, proszę się nie bać —  
uspokajał ją Elliott. — Ja jestem Amerykaninem —  
dodał.

— A ja Amerykanką i mam lęk wysokości —  
zwierzyła się kobieta. — Na czworakach obeszłam  
wszystkie zabytki w Europie. Po co to robię? Bo  
wciąż mam nadzieję, że zdołam w końcu poko-  
nać lęk, chociaż dotąd mi się to nie udało. Przy-  
kro mi, zwłaszcza że dobrze wiem, na czym pole-  
ga nieuzasadniony strach... Spotykam się z tym  
co dzień w mojej pracy. Gdyby dziś wiał najlżej-  
szy nawet wiaterek, to myślę, że w ogóle bym tu  
nie weszła.

W tym momencie nagły powiew wiatru zmiótł  
tej pani z głowy kapelusz, który, wirując, spadał  
i spadał coraz niżej niczym dziecięcy papierowy  
helikopter.

— *Fantastique!* — zawołał stojący w pobliżu ksiądz  
i głośno strzelił palcami. — *Petite tournedos.*

Elliotta zaskoczyło to, że uwolnione spod kape-

lusza włosy tej pani miały taki sam rudy kolor, a także grubość i odcień jak włosy Rory. Oboje z Laurą uważali, że u córki jest to jakiś genetyczny kaprys, którego nie potrafili rozszyfrować, nikt bowiem w ich rodzinie nie miał rudych ani nawet kasztanowych włosów.

Kobieta na próżno wyciągała ręce, próbując złapać kapelusza, który unosił się w powietrzu coraz dalej i dalej. Na pochwycenie go było już o wiele za późno.

— Sam pan widzi — ze śmiechem mówiła do Elliotta: — Nigdzie nie ma śladu wiatru, ale specjalnie dla mnie musiał dmuchnąć. I dobrze mi tak... A teraz muszę zejść na dół, choć schodzenia nie cierpię bardziej niż wchodzenia.

— Pójdę z dziewczynkami przodem i zasłonimy panią - zaofiarował się Elliott. - A jeśli się pani zgodzi, to Rory, moja średnia córka, może nawet dla lepszej ochrony przejść po poręczy. Potrafi takie rzeczy robić, bo jest gimnastyczką.

— Ładna z niej dziewczuszka — kobieta pochwaliła Rory, ścisząc głos, i odwróciła się, aby pójść za Elliottem do wylotu niemal nieosłoniętych schodów - ...tylko te jej nieszczęsne włosy... Czy ona bardzo cierpi, że są rude?

— Bardzo - przyznał Elliott - choć wszyscy uważają że są cudowne.

— No tak... — szepnęła w zamyśleniu. — A czy ona była już u ortodonty? Gdyby teraz założyć jej na zębki częściową klamrę, mogłaby uniknąć później noszenia aparatu. Trzeba się było tym wcześniej zająć.

— Wiem, wiem, ale miałem tyle pracy, że jakoś umknęło to mojej uwagi. Bo, wie pani, jestem ojcem samotnie wychowującym trójkę dzieci.

— Widzę też, że dziewczynka ma trochę płaskie podniebienie.

— Czy pani jest dentystką? - spytał Elliott.

— Tak, jestem dziecięcym stomatologiem — odparła. — I muszę panu powiedzieć, że dzieci się nie

boją dentysty; to rodzice im wpajają poczucie strachu. — Posuwali się w kolejce do wyjścia, gdy Elliott nagle sobie przypomniał, że ma w kieszeni woreczek z popiołem.

- Bardzo panią przepraszam, ale muszę tu jeszcze coś załatwić, więc proszę się nie krępować i iść dalej — zaproponował. — I wybaczyć...

— O co chodzi? Bo jeśli o zrobienie zdjęcia, to zaczekam.

— Nie, to nieco kłopotliwa i raczej osobista sprawa...

— Skoro tak, nie chciałabym...

- Chodzi o popioły mojej matki - Annie weszła jej w słowo — a raczej o ich garść... Moja matka nie żyje, co jest chyba oczywiste, ale zawsze pragnęła pojechać z tatą do Paryża. Tymczasem dostała udaru mózgu. To się stało w naszym samochodzie na „Wielkich Wykopach” w Bostonie.

- Na „Wielkich Wykopach”? - powtórzyła. - Proszę mi nie mówić, że oni wciąż jeszcze przy

tym robią! Chodziłam do szkoły w Bostonie — wyjaśniła — a mieszkam w Berkshires.

— Już kawał czasu minął od śmierci żony — powiedział Elliott.

— Na wigilię Bożego Narodzenia będzie cztery lata — sprostowała Annie. — To wcale nie jest długi okres. Mama umarła o piątej nad ranem. Miałam wtedy trzynaście lat, a już za miesiąc skończę siedemnaście.

— Umarła w samo Boże Narodzenie? — Kobieta zdjęła przeciwsłoneczne okulary i przysłoniła oczy dłonią. - To jest właśnie takie trudne do zniesienia, gdy się ma dzieci: kocha się je, a trzeba się rozstać. Tak się pocieszam, bo nigdy nie miałam dzieci, chociaż bardzo pragnęłam je mieć. Mój mąż był temu przeciwny i pewnie dlatego nasze drogi się rozeszły. Ale się za bardzo rozgadałam. Zawsze za dużo mówię... Chyba dlatego wybrałam taki zawód... To znaczy nie dlatego, że za dużo mówię, ale że lubię przebywać z dziećmi. Wiem,

oczywiście, że nie mogę porównywać swego życia do pańskiego. Nigdy bym nie sugerowała, że czegoś nie mieć, a mieć i stracić — to jest to samo. Cios, który państwa dotknął, jest niewyobrażalnie ciężki. I do tego w samo Boże Narodzenie...

Elliott spuścił wzrok i przebierał palcami w kieszeniach, jakby miał coś wstydliwego do ukrycia.

— Tak — zgodził się w końcu. — Zwykle wyjeżdżamy na Boże Narodzenie do mego ojca na Florydę. Jakoś sobie radzimy. Moja teściowa zrezygnowała z prowadzenia własnej firmy, aby mi pomóc w domowych obowiązkach, i wszystko się dobrze układa.

— Swoje serce oddała chłopcu, który się urodził z ciężką wadą. Mówię oczywiście o mamie, a nie o babci. Chłopak miał dwanaście lat i był już u kresu sił... — powiedziała Rory, rzucając triumfalne spojrzenie w stronę Annie. — A oczy dostała pewna niewidoma pani, która nawet swego dziecka nigdy nie widziała. Z kolei płuca...

— Dobrze już, Rory, wystarczy — Elliott delikatnie zwrócił córce uwagę.

— Jestem pod wrażeniem tego, co usłyszałam — zapewniła nowo poznana pani. Mówiła poważnie, bez cienia protekcjonalności. — Wasza matka musiała być niezwykłą kobietą.

— Wcale nie! — odparła Rory. - Ale potrafiła robić wywrotki do tyłu, chociaż była już starszą osobą tak jak pani. Mama była fajna, ale Karen lepiej gotuje. Nawet tata to przyznaje.

— Karen to... pana przyjaciółka? — spytała Elliotta, zerkając na jego lewą dłoń. Nie było na niej obrączki, choć Elliott zdjął ją dopiero dwa lata temu. Zrobił to tego wieczoru, kiedy Whitney, jedna z przyjaciółek Laury, umówiła go na randkę z pewną zatrudnioną w jej firmie kobietą. Firma Whitney zajmowała się świadczeniem usług gastronomicznych, a Elliott z wybraną panią spotkał się sześć razy i uważał, że przyjemnie spędza czas. Tymczasem któregoś dnia, kiedy skończyli grać



w tenisa, pani — miała na imię Clare i była energiczną brunetką przy kości — poklepała go rakietą po pupie i powiedziała wprost, nie owijając w bawełnę, że czuje, iż on nie wkłada w to serca; Elliott doskonale wiedział, że nie chodzi jej o grę w tenisa.

— Nie, Karen, to nasza pomoc domowa — wyjaśnił nowej znajomej. - Jest świetną kucharką. Pracuje u nas od śmierci żony. Laura raczej się interesowała dziećmi i psem. Wolała czytać niż sprzątać. I choć bardzo lubiła prasować, wyprasowanie dwóch koszul zajmowało jej cały dzień. Nam to nie przeszkadzało. Potrafiła spędzić nawet dwie godziny, układając razem z Amelią mozaikę z makaronu. Ale właściwie mama całkiem nieźle gotowała, co Rory? Pamiętasz, jakie ciastka wypiekała na Boże Narodzenie?

— Pamiętam bożonarodzeniowe czekoladowe drzewo...

— No widzisz, Rory — ostro wtrąciła się Annie. —

jednak jej nie pamiętasz, bo to ciasto nazywało się *Buche de Noel*.

— Nie — przerwała im ruda dentystka. — Uważam, że żadna z was nie zapomniała matki. Pomyślcie o tym, po co przyjechałyście do Paryża; to jest ważne. Piękny sposób na uczczenie jej pamięci. To wspaniałe, że wam wciąż bardzo na niej zależy. I jeśli nie macie nic przeciwko temu, chętnie wam będę towarzyszyć w tej uroczystej chwili.

Elliott małą kupkę popiołu wielkości naparstka wsypał każdej dziewczynce do ręki, a one po kolei otwierały dłonie i strzepywały z nich popiół. Niebo pociemniało i pojawił się księżyc ze swoim widmowym, krzywym uśmiechem. Elliott wolno oddychał: wydech, wdech i znowu wydech. Nie potrafił przywołać głosu ani zapachu Laury, ale rad był, że dotrzymał obietnicy, chociaż właściwie nie wierzył, że ją spełni. Zawdzięczał to Laurze. Opróżnił woreczek, lekko zdmuchując ostatnie cząsteczki popiołu. Rozsiewał je o zmierzchu, do-

póki nad Miastem Światła nie zapadł mrok. Laura była w Paryżu.

- Jestem Elliott. *Je m'appelle Elliott* - przedstawił się pani dentystce. - Zaraz sprowadzę panią na dół. - I podał jej rękę, by ją po chwili, zaczerwieniwszy się, cofnąć. - Przepraszam, moja dłoń wciąż jeszcze może mieć na sobie...

- W porządku - odparła. - Nic mi to nie przeszkadza... a na imię mam Amy. - I mocno uściśnęła mu prawicę.